MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII. Nr. 22 WARSZAWA, 22 MAJA 1938 R. CENA NUMERU 80 GR.

SPRAWA CZECHOSŁOWACJI

Od zapewnienia posła III-ej Rzeszy w Pradze, że *Anschluss* Austrii nie zmieni w niczym sytuacji Czechosłowacji, upłynęło zaledwie dwa miesiące. Dwa miesiące — a groźby stały się już nie rysami na gmachu niepodległego państwa Czechosłowackiego, ale pęknięciami grożącymi w każdej chwili zawaleniem. Sytuacja jest niemal identyczna, jak na jesieni roku 1918-go w Wiedniu. Tylko patrzeć, jak prezydent Benesz ogłosi manifest: „Do moich ludów".

ATAK BERLINA

Kierujący obecnie życiem Rzeszy aktyw polityczny przystępuje do realizacji zjednoczenia całego niemieckiego obszaru narodowego jako podstawy do przyszłej swej imperialistycznej polityki. Jasną jest już dziś sprawa, iż tym najbliższym „dalszym punktem" są Sudety. Jeśli się weźmie pod uwagę liczbę ludności niemieckiej w Czechosłowacji wynoszącą 3.231.000 osób (w tym coprawda 45.000 tak zw. „Niemców wyznania mojżeszowego"), to kraj sudecki stanowi dla Berlina pozycję o pierwszorzędnej jakości, zwłaszcza, iż jej zdobycie równoznaczne jest ze zniszczeniem suwerenności państwa Czechosłowackiego, a co za tym idzie uaktywnieniem polityki Rzeszy na południu Europy. I Henlein ze swą już nie partią narodowo-socjalistyczną, ale zjednoczonymi Niemcami, obywatelami republiki, odgrywa rolę tarana, którego uderzenia, mocne, uplanowane, są nad podziw skuteczne.

Przypomnijmy, że zarządzony przez Hitlera plebiscyt kwietniowy odbywał sie pod hasłem pomocy dla „braci Niemców Sudeckich". „Bracia Niemcy Sudeccy" ze swej strony byli już samym faktem *Anschlussu* dosyć podnieceni. Jeśli napięcie uczuciowe zostanie celowo użyte i jeśli posiada takie oparcie jak dynamika III-ej Rzeszy, gotowej zawsze do pomocy w każdej formie, możemy sobie wówczas zdać sprawę z rozmiarów ogniska zapalnego, jakie stanowią w chwili obecnej Sudety.

Gdybyśmy sobie zadali nieco trudu i zastanowili nad kolejnością wypadków, które następowały na terenie Czechosłowacji, zaraz bezpośrednio po zajęciu Austrii, to stwierdzić byśmy musieli rozrost niebywały zjawiska, któremu na imię ruchy separatystyczne. Po pierwsze zaostrzenie się konfliktu czesko słowackiego. Potem atak Henleina, wreszcie postawa Polaków na Śląsku a także i Rusinów na Rusi przykarpackiej.

Pominiemy dzisiaj epizody i przejawy konfliktu Pragi z Bratysławą, musimy jednak zaznaczyć, iż przybiera on jaskrawe formy, czemu sprzyjają szczególnie rozpisane na dzień 22-go maja wybory gminne. Wybory te, aczkolwiek odbywają się w kraju, będącym — według międzynarodowego języka liberalnego — „jedną z ostoi wolności i demokracji", przypominają raczej taktykę i metody „znienawidzonego totalizmu". Władze np. wydały zakaz odbywania zgromadzeń i agitacji, co wzburzyło tylko uczucia ludności słowackiej. Szczyt, jednak, zadrażnienia stanowi zakaz odbywania manifestacji urządzanych przez stronnictwo księdza Hlinki w dniach 4-go i 5-go czerwca t. j. w dwudziestą rocznicę podpisania umowy pittsburskiej. Opublikowana w „Słowackiej Prawdzie" deklaracja katolików słowackich w Ameryce została skonfiskowana. Jaki obrót weźmie cała sprawa? Fakty tak szybko postępują po sobie, iż — doprawdy — trudno przewidzieć co się może już stać w dniach 4-tym i 5-tym czerwca.

Ale wracajmy do Sudetów.

Akcja organizacyjna konsolidująca wszystkie żywioły niemieckie w Czechach postępowała niebywale szybko. Henlein początkowo zapewniał, że partia jego jest autonomiczną partią narodowo-socjalistyczną. Oczywiście nie dawano temu powszechnie wiary, ale polityka często szuka pozorów.

Ci, którzy ich szukali a w powiedzeniu powyższym Henleina znaleźli, odcięli się rychło po zjeździe Niemców w Karlovych Varach w dniu

23-cim kwietnia. Na zjeździe tym, w którym wzięło udział 800.000 uczestników, Henlein witany wprawdzie jeszcze nie obowiązującym w III-ej Rzeszy okrzykiem: „*Heil Hitler!*” ale nie mniej mówiącym: ”*Sieg heil.*”, wypowiadał się zupełnie bez osłonek o „imperializmie“ czeskim, poczem sformułował tezy, które w imieniu Niemców, obywateli czechosłowackich ogłosił. Domagają się one:

1) wprowadzenia zupełnego równouprawnienia i równorzędności niemieckiej grupy narodowej z narodem czeskim.

2) nadania sudecko-niemieckiej grupie narodowej osobowości prawnej.

3) ustalenia i uznania niemieckiego terytorium zamieszkania.

4) rozbudowania niemieckiego samorządu we wszystkich dziedzinach życia publicznego na terytorium zamieszkałym przez Niemców.

5) stworzenia ochrony prawnej dla tych obywateli państwa, którzy przebywają poza obrębem zamkniętego terytorium osiedlenia ich narodów.

6) usunięcia bezprawia, jakie stosowano wobec Niemców sudeckich od r. 1918, dania im odszkodowania za poniesione przez nich straty.

7) uznania wprowadzenia w życie zasady: w niemieckim okręgu niemieccy urzędnicy.

Żądania te godzą w suwerenność państwową Czechosłowacji a uwzględnienie punktu 3-go, mówiącego o ustaleniu oraz uznaniu niemieckiego terytorium zamieszkania jest niczym innym, jak tylko nie pozbawioną tupetu propozycją pod adresem Pragi, ażeby sobie samobójczo sama wyznaczała przyszłą granicę z III-cią Rzeszą.

Zjazd w Karlovych Varach był faktem dosłownie historycznym. Przede wszystkim zjednoczył wszystkich Niemców sudeckich, czego przejawem rozmowy poszczególnych partii i odłamów społeczeństwa niemieckiego na terenie Czechosłowacji z przedstawicielami narodowych socjalistów, jakie nastąpiły bezpośrednio po 23-cim kwietnia oraz zjazd młodzieży niemieckiej w niespełna kilka dni po tym, na którym najbliższy współpracownik Henleina Frank, stwierdził uroczyście „*Gleischaltung*” wszystkich młodych.

Nie powyższe jednak, niewątpliwie doniosłe fakty, sprawiły, iż zjazd w Karlovych Varach przejdzie do historii, ale rezonans, jaki wywołał w świecie. Konsekwencją tego rezonansu były zalecenia Paryża i Londynu, aby Praga jednak zmieniła swój... ustrój,

Rząd Czechosłowacki odrzucił początkowo propozycje Henleina a zwłasza tą, która żądała ni mniej ni więcej tylko zmiany polityki zagranicznej Czechosłowacji oraz zrezygnowania z dotychczasowych sojuszów. Henlein, a poprostu Berlin tłómaczyli, że chodzi tu przede wszystkim o sojusz z Sowietami tak niebezpieczny dla Europy. Ale właśnie na Sowiety Praga liczy przede wszystkim.

Po namyśle i nie bez presji sojuszników rząd czechosłowacki przystąpił do opracowania projektu statutu narodowościowego. Według „*Angriffu*” statut ten zawierać ma ustępstwa następujące:

1) Autonomia kulturalna, polegająca na prawie administracji z szkolnictwem.

2) Autonomia gospodarcza, wyrażająca się w podziale części dochodów państwowych, a przede wszystkim wpływów podatkowych obszaru sudeckiego na lokalne potrzeby gospodarstwa niemieckiego.

3) Rozszerzenie praw językowych. Na terenie Sudetów nastąpiłoby równouprawnienie języka niemieckiego z językiem czeskim, czyli uznanie go za drugi język państwowy.

4) Poszczególne grupy narodowe mają uzyskać procentowe uprawnienie do stanowisk państwowych.

5) Stworzenie komisji kontrolnej, której skład będzie oparty na kluczu narodowościowym, celem nadzoru nad wprowadzeniem w życie statutu narodowościowego.

„*Angriff*” mówi nie bez ironii, że polityka Czechosłowacji, jeśli idzie o mniejszość ,idzie dwoma torami: teorią i praktyką odmienną od założeń teoretycznych. Podobny pogląd wyraziła „Gazeta Polska“ przed paru dniami komunikatem pochodzącym z kół M. S. Z.-tu.

OBRONA PRAGI

Powiedzenie dzisiaj, że Praga ma „trudności” tak trafne zaledwie parę tygodni temu, byłoby dzisiaj za słabe. Dzisiejsza sytuacja wymaga tu słowa o wiele mocniejszego.

Praga usiłuje się bronić. Obrona idzie zarówno w kierunku wzmocnienia wpływów międzynarodowych, jak w posunięciach na terenie wewnętrznym.

Jeśli idzie o owe umocnienie rządów międzynarodowych, to dla każdego jest sprawą jasną, iż Czechosłowacja poszukuje nerwowo może jeszcze podświadomie zupełnie, gwarantki swojej niepodległości.

Formuła Chamberlaina wypowiedziana w Izbie Gmin była typową wypowiedzią z kategorii wielemówiących czyli nic niemówiących. Optymiści zarówno w Niemczech, jak i na terenie Czechosłowacji zinterpretowali ją dla siebie przychylnie. Dzisiaj nam się wydaje, że większe powody dla optymizmu mieli jednak Niemcy...

Świadectwem prawdy poglądu, iż w wyżej wspomnianej formule Chamberlaina można było umieścić wszystko, postępowanie obecne Londynu, który wezwał do siebie posła w Pradze Newtona, konferował na tematy Sudetów z Francją, z posłem czechosłowackim w Anglii, wreszcie zaproponował Beneszowi i Hodży ustępstwa, przyrzekając nawet pomoc (oczywiście nie autonomiczną) w razie niebezpieczeństw, ale po udowodnieniu przed tym dobrej woli Pragi, czyli pójścia po linii żądań Henleina...

Berlin triumfował.

Ale Praga nie rezygnowała. Wprawdzie poszła na pewne ustępstwa, ale nie takie, któreby zadowoliły i Hitlera i Anglię i Francję. A Hitler jest nieubłagamy; sprzymierzeńcy też czekają.

Praga wie, że musi ustąpić i w jednym z przemówień premiera Hodży jest już wyraźna zapowiedź zmian ustrojowych, ale od deklaracji słownych do czynów jest droga zwykle daleka,

Rząd czeski nie może się zdecydować na zmiany zasadnicze, na przyznanie się wobec siebie i świata do tego, iż republika Czechosłowacka jest jednak państwem narodowościowym a nie narodowym. Wie, iż przyznanie się owo, oznaczało by w praktycze śmierć polityczną, albowiem dzisiaj nie ma już miejsca na państwa narodowościowe. Mimo więc naporu z zewnątrz, mimo sytuacji wewnętrznej, raz wraz odczytywanych deklaracji autonomicznych niemieckich, słowackich, polskich, rusińskich, usiłuje za wszelką cenę iść po linii skrajnie nacjonalistycznej.

Zwrócono więc baczną uwagę na obronność państwa. Duże kredyty poszły obecnie na prace fortyfikacyjne, wzmocniono też stan armii, która

na stopie pokojowej rozporządza dzisiaj pokaźną liczbą 200.000 żołnierza pod bronią.

Jaka jest wartość bojowa tego żołnierza — trudno odpowiedzieć. W każdym razie, nie przykładajmy doń miary Czecha w mundurze austriackim z czasów wielkiej wojny. Pamiętajmy, że szedł on ochoczo w niewolę rosyjską po to, by tym przyczyniać się do niepodległości swojej ojczyzny. Ale czy w wojnie która może nadejść żołnierze w mundurach armii czeskiej nie będą ochoczo szli w niewolę wojsk, które na swych bagnetach nieść będą niepodległość lub wielkość ich ojczyzn? Wszak Czesi stanowią na terenie własnego państwa część zaledwie ludności. Reszta żąda dziś właśnie autonomii dla siebie, szacunku dla swych narodowych uczuć, praw, które by je ochraniały. Wszystko to wartość armii czeskiej stawia pod dużym znakiem zapytania.

(Dok. n.) J. Ba.

O POŁOŻENIU KOŚCIOŁA W TRZECIEJ RZESZY

OMAWIAJĄC na łamach „Myśli Narodowej” (Nr 20) książkę prof. Halbana p. t. „Religia w Trzeciej Rzeszy”, doszedł p Świerzowicz do nieoczekiwanego mimo wszystko wniosku, że:

„Ekskluzywny pogląd narodowo-socjalistyczny bowiem a chrześcijaństwo — to sprzeczności nie do pokonania, a konflikt ten nie tylko że nie straci na napięciu, ale będzie się pogłębiał, aż zwycięży krzyż lub swastyka... zwłaszcza katolicy przeżywają w Niemczech czasy, które można porównać z wielkiemi prześladowaniami pierwszych chrześcijan”.

Wydaje mi się, że tego rodzaju ujęcie rzeczy grzeszy dużą i nawet niebezpieczną przesadą i że diagnoza jest bardzo niedostatecznie umotywowana, a przewidywania — co najmniej mocno ryzykowne. Ośmielam się nawet wyrazić pod adresem p. Świerzowicza żal za artykuł, idący raczej po linii antynacjonalistycznej w ogóle, a antyniemieckiej w szczególności greuelpropagandy żydowsko-masońskiej.

Jaki jest faktyczny stan rzeczy?

Prawdą jest, że narodowo - socjalistycznemu ruchowi społeczno-politycznemu usiłują niektórzy pisarze niemieccy dać ideologiczną nadbudowę z katolickiego punktu widzenia nieortodoksyjną, i że ta antychrześcijańska postawa znajduje niekiedy uznanie i nawet poparcie niektórych wybitnych osobistości i sfer kierowniczych Trzeciej Rzeszy. Prawdą też jest, że organizacjom religijnym i im pokrewnym w Niemczech wiedzie się nie najlepiej, że mają ograniczoną swobodę ruchów i zwężone granice działania, przedewszystkiem w dziedzinie polityczno-społecznej i wychowania publicznego; że Kościół w swej pracy musi coraz bardziej ograniczać się do *„forum internum”*, do zakrystii, konfesjonału i kazalnicy. Rozwiązano bowiem religianckie partie polityczne i organizacje społeczne, upaństwowiono szkolnictwo, wychowanie zaś publiczne i obywatelskie usiłuje się wyjałowić ze wszystkiego, co mogłoby w jakikolwiek sposób dzielić naród, tuszuje się więc i różnice wyznaniowe. Zdarzają się też i personalne represje w stosunku do czynniejszych członków zrzeszeń religijnych. — Tak, to wszystko prawda. Ale bynajmniej nie wynikają stąd wnioski o zasadniczej przepaści światopoglądowej między chrześcijaństwem a narodowym socjalizmem, porównanie zaś obecnej sytuacji Kościoła w Niemczech do męczeństwa pierwszych chrześcijan wygląda blado i nieprzekonywująco i jest całkiem nie na miejscu.

Najpierw omówmy kwestię rzekomej przepaści ideologicznej między narodowym socjalizmem a chrześcijaństwem. — Otóż tej „przepaści” względnie różnicy nie należy brać zbyt tragicznie. A to dlatego, że narodowy socjalizm nie jest sam przez się żadnym systemem filozoficzno - teologicznym, w którym to, co się nazywa sformułowaniem i dowodem bezwzględnej prawdy, odgrywałoby znaczniejszą rolę. Narodowy socjalizm określiłbym raczej jako naturalny ruch biologiczno - organiczny, zmierzający do urzeczywistnienia doczesnych celów przyrodzonych, zdrowych zresztą i godziwych, jak: tężyzna fizyczna i moralna, radość życia, panowanie siły i piękna nad charłactwem i brzydotą, harmonijny rozwój uczuć indywidualnych i społecznych (z pewną przewagą tych ostatnich), racjonalna organizacja społeczności ludzkiej w walce z przyrodą, szczególna dbałość o pomyślność i rozwój grupy ludzkiej jako całości, pozatym zaś o mniej więcej słuszny rozdział obowiązków, pracy i płynących z niej korzyści i zysków indywidualnych. Obserwując rozwój stosunków w Niemczech przez czas dłuższy, śledząc wynurzenia i poczynania kierowniczych osobistości Trzeciej Rzeszy, — odnoszę wrażenie, że Narodowy Socjalizm ma ambicję zawrzeć w sobie syntetycznie i w życie wcielić grecki kult ciała, zmysł zdrowego rozsądku i poczucie prawnego ładu Rzymu, instynkt stadny hord barbarzyńskich z okresu wędrówki ludów, humanistyczną miłość i radość życia, właściwą socjalizmowi dążność do urzeczywistnienia porządku i sprawiedliwości społecznej na drodze przymusu, wreszcie poczucie wybrańswa i wiarę w swe posłannictwo, znamionujące ducha izraelskiego.

I jest rzeczą niezmiernie ciekawą i charakterystyczną, że, mimo pewnych pozorów, narodowy socjalizm w istocie rzeczy nie wiąże się ściśle z żadnym określonym systemem filozoficznym, nawet mniej jest skłonny do posługiwania się abstrakcyjną argumentacją czysto rozumową, lecz odwołuje się do pierwotnych uczuć i instynków, tego praźródła aksjomatyki życiowej człowieka. Narodowy socjalizm nie jest doktryną, narodowy socjalizm jest zorganizowanym wyrazem instynktownych potrzeb i dążeń, jest wiarą...

Naturalnie, podobnie jak wszystkie wielkie ruchy organiczne, ma czy też mieć może narodowy socjalizm swą „nadbudowę” ideologiczną. Lecz ta nadbudowa to filozofia narodowego socjalizmu wcale nie musi być sztywna i niezdolna do przekształceń i ewolucji. A co jest najbardziej ważne, taka czy inna nadbudowa ideologiczna żadną miarą nie przesądza o istotnym charakterze danego prądu dziejowego. Historia dostarcza licznych przykładów, kiedy to pod chropawą skorupą mniej

lub więcej niesympatycznej nadbudowy ideologicznej tkwiło dążenie i myśl najzupełniej naturalna i słuszna. Renesansowy humanizm z początku robił wrażenie niebezpiecznej zabawy przemądrzałych umysłów i zdawał się być buntem duchów hardych i ciał słabych przeciwko hieratycznej dyscyplinie średniowiecza, faktycznie zaś przyniósł odrodzenie kultury klasycznej, natchnął ludzi szacunkiem do własnego ciała i wskazał im doczesne źródła piękna i radości życia. Reformacja groziła jedności a nawet istnieniu Kościoła, spowodowała zaś jego odrodzenie i rozkwit. Pozytywizm zdawał się godzić w autorytet i objawienie, nauczył zaś myśleć krytycznie i wdrożył do systematycznego i metodycznego badania realnej rzeczywistości. Teoria ewolucji gatunków zwierzęcych i teorie kosmogoniczne pozornie podważały fundamenty chrześcijańskiego poglądu na świat, — nauczyły zaś figuralnego rozumienia świętych tekstów, oględnego ich stosowania w ścisłej argumentacji i dały jeszcze jedną sposobność przekonaniu się o możliwości pogodzenia prawdy bezpośrednio rozumowo uzasadnionej z prawdą objawioną. Sceptycyzm i relatywizm zdawał się zachwiać podstawami zdrowego rozsądku, stworzył zaś szkołę i metodę ścisłego myślenia. Socjalizm głosił walkę wszystkich przeciwko wszystkim i odarł naturę ludzką ze wszelkiego uduchowienia i wzniosłości, w istocie rzeczy zaś był formą protestu przeciwko nadużywaniu „świętego" prawa własności i poniewierce warstw społecznych, wydziedziczonych z praw do ludzkiego życia i t. d. i t. d.

Podobnie rzecz ma się i z narodowym socjalizmem. Można mu zarzucić to i owo, nie można jednak zapominać o tem, że najważniejsze przykazania boskie, to znaczy czwarte, piąte, szóste i siódme i ósme, — przykazania, będące wyrazem bożej troski o zachowanie i pomyślność doczesnego bytowania rodzaju ludzkiego, przykazania, stanowiącą treść objawienia, powierzonego pieczy Kościoła, te właśnie przykazania z niespotykaną dziś u innych rządów i regimów gorliwością głoszone są i urzeczywistniane właśnie przez narodowy socjalizm. Prawdą jest, że pobudek dla swej działalności nie czerpie narodowy socjalizm w dziedzinie nadprzyrodzonej, lecz odwołnje się do racji bezpośrednich i do zdrowego rozsądku. Ale przecież narodowy socjalizm mimo frazesów o deifikacji rasy, nie jest i zapewne nie chce być żadną religią. Prawdą też jest, że narodowy socjalizm czasami głosi rzeczy, które mogą razić — np. sterylizacja; ale dalibóg nie mogę pojąć, dlaczego usuwanie szkodliwych dla społeczności osobników za pomocą dożywotniego więzienia lub „kary" śmierci albo posyłanie milionów ludzi na rzeź wojenną miałoby być czemś mniej okropnym niż wyjałowienie nielicznych jednostek — również dla dobra ogółu.

Prawdą jest, że narodowy socjalizm niezbyt dużym zaufaniem darzy religię. Ale na usprawiedliwienie narodowego socjalizmu należy podnieść okoliczność, że religią większości narodu niemieckiego — to zimny, bezduszny, wyjałowiony z nadprzyrodzoności protestantyzm, nie stanowiący w dodatku ani jednolitej doktryny ani też jednolitej organizacji. Nie mógł więc niemiecki nacjonalizm na protestantyzmie się oprzeć ani też nie ma specjalnego powodu potemu, by żywić dla protestantyzmu respekt lub go opieką otaczać. A Kościół katolicki? Kościół katolicki — to wyznanie mniejszości. A pozatym, czy stanowisko Kościoła czy też kleru w sprawach, któremi się interesował i do których uregulowania dążył narodowy socjalizm, było całkiem bez zarzutu? Kościół zawsze twierdził, że nie wiąże się z żadnym określonym ustrojem państwa systemem polityki wewnętrznej; ale ile kłopotu miał narodowy socjalizm z katolickim centrum. Kościół twierdzi, że nie wiąże się z żadnym systemem polityki międzynarodowej. Ale niestety przeczy temu przykład Austrii, której pozorna i sztuczna niezawisłość, stojąca na przeszkodzie zjednoczeniu narodu niemieckiego, była podtrzymywana przez czas pewien wysiłkiem kleru austriackiego, który z pewnością nie działał na własną rękę. Kościół nie wiąże się z żadną narodowością, niestety jednak tak jakoś wypadło, że nie słyszeliśmy, by Kościół wystąpił w obronie napadniętej przez Włochów Abisynii, zato jeśli chodzi o niemieckich żydów, to zachowanie się niektórych książąt Kościoła i polityka stronnictw „katolickich" robiły niestety wrażenie wręcz niemiłe.

Możnaby wiele jeszcze na ten temat powiedzieć; ale niestety nie rozstrzyga to istoty rzeczy.

Na zakończenie — pragnąłbym podkreślić, że obecna sytuacja Kościoła katolickiego względnie chrześcijaństwa, choć nie może być oceniana różowo i optymistycznie, nie jest jednak rozpaczliwa, a już w żadnym wypadku nie może być porównywana do epoki katakumb. Byłaby to niezgodna z prawdą, niesprawiedliwa i śmieszna przesada. Pilnie śledzę bieg wypadków, czytam uważnie wszelakie informacje czy to PAT'a czy to KAP'a, przestudiowałem encyklikę „Mit brennender Sorge" o położeniu Kościoła w Niemczech, nie znalazłem jednak nigdzie dostatecznej, a nawet prawdopodobnej podstawy do wypowiedzenia słów tak lekkomyślnych i bluźnierczych, jak te, że „katolicy przeżywają w Niemczech czasy, które można porównać z wielkiemi prześladowaniami pierwszych chrześcijan".

WINCENTY DUTKOWSKI

UWŁASZCZENIE LITERACKIE CHŁOPA

W PÓŁWIECZE „CHAMA" ORZESZKOWEJ

ZALEDWIE Orzeszkowa ukończyła powieść Nad Niemnem, najwyższe dzieło w swym dorobku literackim, zanim jeszcze zdołała je wydać w książce — odrazu, jakby resztą tego samego wielkiego impetu twórczego, w krótkim czasie napisała drugą powieść, od poprzedniej objętościowo mniejszą, ale pod względem wartości niewiele chyba, czy nic zgoła jej nie ustępującą, Chama. Z początkiem r. 1888 utwór został ostatecznie wykończony i niebawem wydrukowany.

Przyjęto go z uznaniem nie mniejszym (jeśli nie większym) niż tamto wielkie dzieło. Prawda, wielka krytyka zachowała się raczej trochę powściągliwie. Chmielowski, w trzecim wydaniu Zarysu, ograniczył się do gołej wzmianki (podobnież, później nieco, Tarnowski). Ale głosy entuzjazmu przyszły skądinąd. Pod wrażeniem Chama — oto tytuł rozprawy, z którą wystąpił Zdziechowski, głęboko poruszony dziełem i odtąd trwały wielbiciel talentu Orzeszkowej. Osobną rozprawkę krytyczną poświęciła powieści M. Konopnicka. Wiemy, że wysoko cenili Chama wielcy poeci ze wsi rodem: Kasprowicz i Orkan. Utwór to do dziś jeden z najpoczytniejszych. (On jeden z pośród dzieł Orzeszkowej dostał się — na swe nieszczęście — na ekran).

Skoro więc wytrzymał zwycięsko próbę uznania w trzecim już pokoleniu, godzi się, żeby z racji pięćdziesięciolecia na nowo zdać sobie sprawę z jego znaczenia i wartości. Dostrzec je i określić napewno łatwiej i pełniej można będzie dziś, z perspektywy czasu, niż przed laty, na świeżo i z bliska.

Nie potrzeba tutaj przypominać treści utworu. Czytelnik zechce może sam sięgnąć do książki i odnowić wrażenia odniesione z niej zapewne jeszcze w młodości. Trzeba bowiem pewnego dojrzenia w sobie, by ocenić ten typ piękna i tego rodzaju wartości, jakie niesie Cham.

W najogólniejszym zarysie powiedziawszy powieść przedstawia dzieje bogobojnego rybaka nadniemeńskiego Pawła Kobeckiego, chłopa, i poślubionej przezeń służącej - mieszczki Franki, latawicy o nieopanowanym temperamencie, o całkowitym braku poczucia moralnego, która po krótkim okresie miłości zdradza go, ucieka, a wróciwszy z dzieckiem i znów przygarnięta, znów schodzi na dawne manowce i ostatecznie usiłuje otruć męża, aż wreszcie w śmierci samobójczej znalazła ucieczkę przed własnym rozkiełznaniem i przed przerażającą ją dobrocią męża.

Dzieje te, niby proste, rozprowadzone zostały przez autorkę z przenikliwością psychologiczną i z doskonałością wyrazu wprost wspaniałą. Cham jako dzieło sztuki powieściopisarskiej, jako konstrukcja, jako przedstawienie konfliktu charakterów, jako odsłonięcie głębin życia duchowego w człowieku prostym, jako malowidło społeczne, jest niewątpliwie jednym z najwyższych dokonań artystycznych naszej literatury powieściowej. Nie dziwimy się zachwytowi pierwszych recenzentów.

Niemniej trzeba powiedzieć, że już w tamtych recenzjach wskazać można charakterystyczny wypadek przesunięcia świateł, co się odbiło na późniejszej reputacji literackiej dzieła, wyraziło się w pewnej charakterystycznej węziźnie sądów o nim.

Chcąc więc rzecz należycie na tle epoki wyrozumieć, ocenić i potrosze sprostować, sięgnąć musimy na chwilę do jednej z tych recenzyj.

Artykuł Konopnickiej o Chamie przez to jest cenny, że autorka, bliska przyjaciółka Orzeszkowej, wyjawiła podkład rzeczywistości w utworze; poznała mianowicie ona tę, która była pierwowzorem bohaterki Chama, Franki. Rzeczywista „Franka" bowiem nie popełniła samobójstwa, tylko wpadła w obłęd. Orzeszkowa bardzo ciekawie tłumaczyła przyjaciółce, dlaczego w powieści dopuściła się tej deformacji rzeczywistości i bohaterkę doprowadziła do śmierci.

Świadectwo Konopnickiej zostało zresztą potwierdzone przez samą autorkę. W wydanym niedawno II tomie Listów Orzeszkowej podano odnoszący się tutaj fragment listu jej do Meyeta:

> „Z Chama jestem dość zadowolona; opracowałam go bardzo starannie, a ponieważ opracowałam wypadki zupełnie prawdziwe, zdarzone z chłopami ze wsi sąsiedniej Miniewiczom, których dobrze znam, więc może ta psychologia chłopska jest przedstawiona wiernie. Jeżeli kiedy będziesz w Miniewiczach, pokażę Ci bohatera tej powieści, rybaka, bohaterka znajduje się teraz naprawdę w domu obłąkanych w Grodnie..." [1] [2]

A zatem — jak widzimy — obie główne postaci powieści, Paweł i Franka, wzięte zostały z życia, wypatrzone tam przez autorkę, nienasyconą obserwatorkę istnień ludzkich, wybieranych przez nią prawem wespół-czucia „z różnych sfer", ale przedewszystkiem ze sfery społecznie najniższej, z „nizin", spośród biednych, prostych ludzi. Jednym słowem, także pisząc Chama poczynała sobie autorka tak, jak czyniła stale w swej praktyce pisarskiej, t. zn. trzymała się nie tyle fikcji, wymysłu, ile natury. Tej praktyki zaś przestrzegała świadomie.

> „To i owo — pisała do Karłowicza — zmodyfikować i zmienić można, często nawet trzeba, ale główne rysy muszą być kopiowane z natury, z natury widzianej, słyszanej, badanej..." [3]

Oto program literacki realistki, program, któremu Orzeszkowa wierna była także pisząc Chama. Ten związek powieści z życiem realnym musimy sobie dobrze zapamiętać.

Z listu do Meyeta widać jednakowoż, że dla autorki trzymanie się „natury" nie zasadza się tylko na wiernym kopiowaniu realiów, odtworzeniu środowiska fizycznego, ale że głównie chodzi tam o wierność wewnętrzną. Sama mówi, że w Chamie chodziło jej przedewszystkiem o „psychologię chłopską"; chlubi się, że ta zwłaszcza została „przedstawiona wiernie".

Rzeczywiście Konopnicka tą właśnie wiernością psychologiczną jest zachwycona. Zwłaszcza zaś podziwia ona trafność introspekcji autorki w duszę Franki, istoty niewątpliwie patologicznej,

---

[1] Gazeta Polska 1889.

[2] E. Orzeszkowa. Listy. Warszawa 1938. II 1, s. 302.

[3] Tamże, II 1, s. 42.

chorej na histerię i *moral insanity*, a ukazanej w powieści z precyzją obserwacji, którąby przyniosła chlubę specjaliście - lekarzowi. Konopnicka zaglądała nawet do dzieł fachowych, by się o tym przekonać, czego to wówczas nie żądało się od krytyki literackiej. Jak realizm — to realizm.

Natomiast psychika Pawła mniej jakoś zainteresowała Konopnicką. Owszem, starała się ona wytłumaczyć, z warunków fizycznych jego życia, z wieku i t. p. jego np. pewną marzycielskość, spóźnione przebudzenie miłosne i t. p., ale widzimy odrazu, że recenzentka porusza się tu po powierzchni, w głąb rzeczy wnikać nie może, nawet nie próbuje. Paweł wyszedł w recenzji tej wyraźnie upośledzony. Upośledzenie to bardzo charakterystyczne. Godne ono uwagi i stąd również, że wywarło pewną sugestię, na późniejszą krytykę. Np. A. Drogoszewski w swej książce o Orzeszkowej [4]) mówiąc o Chamie, — podobnież zatrzymuje uwagę tylko przy France, dla Pawła nie ma jej ni odrobiny. A przecież Paweł jest bohaterem tytułowym utworu, i aczkolwiek konflikt dusz tych dwojga jest w utworze sprawą centralną, w konflikcie tym on jest na planie pierwszym; jej zaś przypada tam rola jakby odczynnika, który z tamtej duszy wydobywa na jaw samą iściznę wartości. Zaniechanie wskazane tłumaczy się jasno.

Konopnicka pisała swą recenzję w okresie, kiedy jeszcze wcale ostro „wadziła się z Bogiem", nie miała więc należytego wyczucia dla zjawisk życia religijnego. Tymczasem postać Pawła, tytułowa postać Chama, należy *par excellence* do tego właśnie świata zjawisk i poza nim należycie oceniona być nie może. W tej sferze pomieściła autorka świadomie główną wartość swego bohatera.

Jakimś przedziwnym darem wnikania w dusze dostrzegła ona nieopodal siebie i do dna przeniknęła, ogarnęła w najwewnętrzniejszych pobudkach działania, człowieka prostego, rybaka, prawie analfabete, który nie z ukształcenia, ale sam z siebie, z Bożego nadania, jest w postępowaniu swym, w samej istocie swojej, zgodzony z nadprzyrodzonym ładem moralnym świata, skupioną energią prawości i dobroci, promieniującej na otoczenie a opartej o sankcję Bożą, przełamuje zapory zła, grzechu, krótko mówiąc, jest geniuszem religijnym. Blask jego wartości moralnej promienieje tym jaśniej, że autorka nie zakroiła go na jakiś nieziemski ideał. Owszem, to człowiek z krwi i kości, na zewnątrz taki jak jego sąsiedzi ze wsi; po ludzku np. zapłonał miłością, Franka oczywiście pociągała go zmysłowo.

Ale ten prosty, zwykły człowiek ma niezwykle wzniosłą i czystą duszę, ma w sobie niewymierne jakieś skarby dobroci, przebaczenia, nadewszystko zaś wysoką prawość moralną i żarliwość religijną. Boleje po chłopsku, gdy Franka go porzuciła, albo gdy wraca z cudzym dzieckiem liczy się ze względami ludzkimi i przełamuje w sobie skrupuły poziomsze, np. wstyd przed wsią; nadewszystko jednak przeraża go myśl, że oto żona jego duszę swą oddała na zatratę piekłu. Tę właśnie umiłowaną duszę nieszczęśliwej pragnąłby ze wszystkich sił wrócić niebu; za nią modli się przez długie wieczory, sylabizując mozolnie przy kaganku ze swego Ołtarzyka. Wielkoduszność i niezwykłość dobroci Pawła dochodzi wymiarów wprost heroizmu religijnego. Przykłady podobnego rodzaju świetlistości motywów postępowania spotkać można doprawdy tylko w hagiografii. Toteż najtrafniej określił wartość Chama Brzozowski, mówiąc, że to „książka tak piękna, jakby z żywotów świętych wyjęta była". [5])

Taki sąd, (najgłębszy, jaki dotąd powiedziano o Chamie), choć stawia dzieło wysoko w hierarchii wartości, sprawy oszacowania go przecież jeszcze nie wyczerpuje. Znaczenie utworu bowiem nie wyczerpuje się jego samoistną wartością jednostkową, zależy także od momentu pojawienia się i od funkcji, jaka mu przypadła w rozwijającym się łańcuchu kultury duchowej. Po za krytykiem literackim czy psychologiem — i historyk literatury więc ma tu coś do powiedzenia.

Zauważy on przedewszystkiem, że Cham Orzeszkowej jako „powieść chłopska" wyprzedzony został niewiele co przez Placówkę Prusa; dostrzeże też, że pomiędzy tymi dziełami zachodzi — poza tematycznym — pewnego rodzaju powinowactwo strukturalne: oba mianowicie, odnosząc się do zjawisk analogicznych, ujęte zostały także z podobnych punktów widzenia.

Przez dzieła te wkracza do piśmiennictwa polskiego chłop jako bohater powieściowy. Chłop nie fikcyjny, nie wyidealizowany ani wykoncypowany zgodnie z takimi czy innymi założeniami ideologicznymi, ale autentyczny, ujęty i odtworzony na podstawie obserwacji, przeprowadzonej z całą rzetelnością realisty, wzięty — jak Orzeszkowa powiedziała — „z natury widzianej, słyszanej, badanej". Wierność odtworzenia — oto pierwszy wymagalnik i pierwsza wartość ludowych kreacyj literackich Prusa i Orzeszkowej. Dygasiński dołączy się tutaj dopiero później.

Jest wszelako w ujęciu tych postaci przez Orzeszkową czy Prusa wartość jeszcze druga, większej wagi. Postaci chłopskie dawniejszych naszych pisarzy, jeszcze u Kraszewskiego, ważne były dla twórcy nie tyle same z siebie, jako podmiot artystyczny, ile raczej jako bierny przedmiot, w owoczesnym układzie społecznym przedmiot upośledzony, sponiewierany, skrzywdzony. Ostap Bondarczuk czy Budnik interesowały autora nie dlatego, że są to osobliwe fenomeny ludzkie, charakterystyczne fizycznie, kulturalnie czy psychicznie, ale dlatego głównie, że są ofiarami krzywdy społecznej, przesądów stanowych czy niegodziwości możnych tego świata. Przedstawiając ich w utworze literackim, autor zmierza nie do zaciekawienia czytelnika istotą ludzką samą przez się, bogactwem jej wewnętrznym, ale do obudzenia w nim czy to dążności reformatorskich, czy — najczęściej — po prostu współczucia, litości. Ostatecznie do pewnego stopnia tak przecież jest jeszcze nawet we wcześniejszych powieściach Orzeszkowej (Niziny).

Takie ujęcie było oczywiście zrozumiałe i nieuniknione w okresie, gdy chłop pańszczyźniany był istotą bez praw ludzkich, bez woli i bez własności, wydany na łup niesumiennych wyzyskiwaczy. Wszelako ten stan rzeczy zbyt długo trwać nie mógł, ze zmianą stosunków społecznych i on oczywiście musiał się stać anachronizmem.

[4]) A. Drogoszewski, Eliza Orzeszkowa. Warszawa 1933, s. 101.

[5]) St. Brzozowski, Dzieła wszystkie, Warszawa 1938, VI 48.

Otóż nowatorstwo Prusa i Orzeszkowej było w tym, że z anachronizmem tamtym zerwali zdecydowanie i że potraktowali chłopa jako fenomen artystyczny sam w sobie. A że uczynili to w dziełach literackich wysokiego stempla, to też dokonany przez nich zakręt stał się odrazu widoczny i już nadal w literaturze obowiązywał. Zarówno Ślimak z Placówki jak Paweł Kobecki z Chama są pod tym względem postaciami „historycznymi".

Ognisko zaciekawienia chłopem, interes artystyczny jest naturalnie różny u obojga pisarzy; przy odmiennych ich indywidualnościach inaczej przecież być nie mogło. Prus wydobył ze Ślimaka jego chłopską, nieprzepartą, głuchą, biologiczną siłę trwania, fizycznego bytowania na określonym kawałku ziemi, zczepienia się z nią korzeniami nierozerwalnymi. Widział on w tym — i słusznie — fundament niewytracalności plemiennej narodu, uwielbił go więc jako ostoję otuchy narodowej, i tą drogą wprowadził ciemnego chłopa tego w polski panteon literackich postaci.

Inaczej Orzeszkowa. Ważyła ona dość lekce fizyczną „mocarność" chłopa, nie zachwycali jej, raczej irytowali, „bezduszni — jak się wyraziła — i całkowicie bydlęcy Bartkowie zwycięzcy". Sama bowiem przenosiła ognisko wartości ludu raczej wgłąb, szukała jej raczej w charakterze moralnym.

Nie fizyczność, nie korzenie chłopskiego bytowania obchodziły ją w Chamie, ale bytowania tego kwiat duchowy jak najprzedziwniejszy. Wydobyła ona na jaw wartości wewnętrzne chłopa: jego nieporadną w wyrazie, ale ekstatyczną w istocie doznania, żywą religijność. Rozległe horyzonty i głębie wzruszeń religijnych, dostępnych prostej duszy chłopa, dostrzeżonych tam i „przedstawionych wiernie", — ona pierwsza oddała z taką sugestywną potęgą wyrazu artystycznego.

Nie idealizując niczego, ale owszem trzymając się wiernie rzeczywistości, ujawniła ona, że chłop bywa godzien nietylko litości, ale czasem i onieśmielonego podziwu, że sam przez się może być wartością duchową wzniosłą i niepowszednią. Może mieć w sobie nietylko (jak to częściowo ukazała sama Orzeszkowa w Dziurdziach, jak to w pełni pokaże później Reymont) piekło namiętności, ale także niebo dobroci, prawości cichej, wstydliwej ale niewyczerpanej. W literackim jasnowidzeniu duszy chłopskiej Ślimak wyznacza niewzruszalną twardziznę podwalin, Paweł najstrzelistsze wiązania szczytowe. Niezwykłą, o nadprzyrodzoność zahaczoną potęgą swą duchową prosty rybak ten staje obok najwznioślejszych postaci naszego piśmiennictwa.

Przez tę kreację Orzeszkowa pierwsza dała poznać, jakie to skarby duchowości mogą się kryć w prostym wiejskim człowieku. W zwierciadle Chama okazało się w sposób artystycznie przekonywający, jaką potężną wartością moralną zajaśnieć może sam w sobie chłop, w grubej prostocie swej istny udzielny mocarz duchowy, a tak do niedawna wprowadzany w konstrukcję literacką li po to jedynie, by był biernym ośrodkiem skupiającym litość czytelnika. Tutaj staje się on osią konstrukcyjną główną, miarą i symbolem wzniosłości. To już nie pańszczyźniany nieszczęśnik, nawet nie ofiara ciemnoty i zabobonu, ale człowiek wolny w duchu i w duchu wielki.

Przez Chama dopiero dokonało się w piśmiennictwie polskim pełne, rzetelne i już niezaprzeczalne „uwłaszczenie" artystyczne chłopa polskiego. Oto w czym widzieć należy historycznoliteracką doniosłość tego dzieła.

STANISŁAW PIGOŃ

NOWE POEZJE DOBRZYŃSKIEGO

I

RZEMIOSŁA literackiego uczył się Dobrzyński niewątpliwie głównie od poetów romantycznych. Wyznaje to sam w wierszu p. t. „Facjatka": „grzałem się wtedy Mickiewiczem, albo Słowackim z Króla Ducha".

Ślady wpływów wielkiej poezji polskiej XIX w. widać było w „Czarnej poezji", są one także w zbiorku "Żagwie na wichrach". O swoistej „romantyczności stylu" świadczy tutaj język poety, naogół swobodny i dosadny, śmiało i syntetycznie wyrażający rzeczy ważne tak w życiu osobistym autora, jak i w jego świecie społecznym. Dobrzyński w większości swych utworów pisze tak, jak myśli, a myśl jego i słowo są tylko wyrazem jego wrażliwej duszy, są niejako przedłużeniem ramienia, narzędziem bojowych zamierzeń.

Kto wie, czy nie odziaływaniu koncepcji i marzeń Mickiewicza i Słowackiego zawdzięcza Dobrzyński swoje zacięcie proklamacyjne i rozmach swej poezji. Tendencje „nowoczesne" do zastąpienia idei i prostego piękna — żonglerką metaforami, kalamburem i „szmoncesem" — spłynęły z Dobrzyńskiego, jak piana płytkiego strumienia. Młody robotnik łódzki bez szkolnej nauki, ale samouk, wyrosły w biedzie, wśród piekła agitacji komunistycznej i miazmatów żydostwa, ale żywiący w głębi duszy chłopski instynkt i miłość prawdy życiowej — nie przejął się ideologią „społeczną" i rewolucyjną Woliców, Łobodowskich, Broniewskich, Jasieńskich, Wierzyńskich, Holendrów i Tuwimów.

Indywidualność człowieka, któremu się w piersi pali twórczość — przedarła się przez klimat Łodzi, przez sugestię walki klas, wyszła nawet ponad osobistą biedę we wczesnej młodości. Te warunki pewien wpływ wywrzeć musiały. Łódź proletariacka żyje także w duszy poety i odzywa się w jego pieśni. Ale jednocześnie docierał Dobrzyński do istotniejszych przyczyn doli ludzkiej, spoglądał ku źródłom życia jednostki i ducha społecznego. Poczuł tęsknotę do wsi. Odkrył w sobie związek rasowy ciała i ducha z ziemią, która żywi ludzkość. Zainteresował się koncepcjami religijnymi, począł szukać społecznego sensu odkupienia, płodności krwi Chrystusowej i męczeńskie („Mój Chrystus", „Do świętych wisielców"). „Duch, wieczny rewolucjonista", odnalazł swoje podścielisko biologiczne, swą bliższą Ojczyznę — wieś, z której otwarły mu się horyzonty na przeszłość narodu i drogi do „większej" Ojczyzny — do Wielkiej Polski.

II

W rozwoju uczuć i myśli poety poważnie zaważył wpływ ruchu polityczno-społecznego, który, kiedy Dobrzyński dorastał, rozpoczynał na dobre organizować polskie masy robotnicze.

Stronnictwo Narodowe w Łodzi w służbie interesów gospodarczych i kultury ludności polskiej napotykało ogromne przeszkody, które trzeba było przełamywać częstokroć w sposób gwałtowny, nie szczędząc żołnierskiego męstwa i krwi swoich ludzi.

Dobrzyński, drukujący pierwsze swoje utwory w „Orędowniku", zetknął się z przywódcami ruchu narodowego w Łodzi, był świadkiem i uczestnikiem bitew i zwycięstw tego ruchu, jego działalności w związkach zawodowych, jego akcji kulturalno-oświatowej i ekspansji organizacyjnej. Kiedy Dobrzyński rozwinął swój talent, kiedyśmy na niebie literackim, pełnym oparów żydowskości i wydętych baloników „nowoczesnej" formy zobaczyli błyski jego słowa, szczere, proste, świeże i bojowe — wielu odrazu okrzyknęło tego młodzieńca poetą awangardowym obozu narodowego. Tak czy owak, nie ulega przynajmniej wątpliwości, że w duszy Dobrzyńskiego odbiły się pewne tendencje Polski walczącej.

Poeta słucha narodu, kiedy zatapia zmysły i ducha w przyrodzie ojczystej, kiedy obcuje z mrowiskiem społecznym i jego przywódcami, kiedy odbija w swej jaźni rozwijający się przez pokolenia boski rysunek narodowych przeznaczeń, kiedy patrzy we własne serce, szukając w nim „prawd żywych" i cudu. Naród słucha poety, jeżeli czuje jego miłość i wielkoduszność, jeżeli w jego słowach słyszy „komendę zwycięstwa". Zawsze, od Kochanowskiego do Rostworowskiego, była reakcja podwójnej wymiany życia między osobowością poety, a duchem jego narodowego środowiska.

Jednakże żadne wpływy nie wytłumaczą całkowicie indywidualności twórcy.

„Płaszcz na moim duchu nie był wyżebrany, lecz świetnościami dawnych moich przodków — świetny" — pisał Słowacki. Konstanty Dobrzyński wyszedł z ludu, jak Kasprowicz i w ciężkim trudzie musi dorabiać się kultury. Nie jest cudownym dzieckiem, ani jakimś automatycznym geniuszem; *quodquod scribere temptebam, versus erat*. Musi się strzec zwolnienia zmysłu krytycznego, nie wolno mu zmniejszyć wysiłku i pracować na małym ciśnieniu, bo pocznie lecieć w dół, jak samolot, tracący szybkość.

Nie zapominając o żadnym wpływie, trzeba stwierdzić, że zasadniczy charakter wierszy Dobrzyńskiego pochodzi z jego temperamentu, gustów, przyzwyczajeń. Poezja to kwiat o mistycznych korzeniach, wyrastający ze zmysłów i mózgu twórcy, z jego krwi i duszy.

III

Żywiołowość Dobrzyńskiego ma pewne cechy pierwotne. Rzadko nawiedza go dobry geniusz refleksji, który każe dociekać i zgadywać mechanizm świata i rządów Boskich i który wytworzył podstawy naszej cywilizacji politycznej, wiedzy i religii. Dobrzyńskiemu zaś zaraz krew uderza do głowy, zaciskają się pięści i wyrywa się okrzyk; hurra!... Przykładamy tu do poety miarę największą, bo na to już — i jeszcze zasługuje. Już — z racji rozkwitu talentu, a jeszcze — bo jeszcze jest młody, więc powinien pogłębiać się i wzmacniać.

Żywiołem Dobrzyńskiego jest walka i siła. Ale walka, pojęta jako miażdżenie, mordowanie. Raz ta gorączka bitewna występuje w formie odezwy do żołnierzy („Alarm", „Bateria") częściej jednak Dobrzyńskiego furia krwiożercza porzuca wszelkie kulturalne pozory, odkłada na bok mundur, działo, karabin nawet bagnet i nóż, zdziera z siebie bodaj skórę człowieczą i rzuca się naoślep: „na pięści, na zęby". Kiedy się rozpala wyobraźnia Dobrzyńskiego, do głosu dochodzi prazwierzę ludzkie; ono jest główną metaforą w bojowych odezwach, ono jest uśpioną, ślepą siłą niszczycielską, którą poeta budzi i chce okiełznać. Dobrzyński wierzy w bestię ludzką. Żyjąc w okresie krwawych przewrotów, Dobrzyński widzi, jak w masach milionów żywych ciał przeciągają się miliony drapieżników, czając się do skoku. „Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie" pisał Kasprowicz pod wrażeniem nadciągających jakoby rewolucyi ludowych. „Widzę: centaury przebiegają ziemię, miast łuków dzierżą płomienne pochodnie; kopyta w iskrach... Gdzież ta siła drzemie, co łun powstrzyma rozszalałą zbrodnię?!" Kasprowicz czuł, jak gniecie go tragiczne koło historii. Motłoch chce żyć, ale w swym ślepym, żywiołowym dążeniu samozachowawczym miażdży tych, którzy mu życie niosą, niszczy duchowe, kulturalne siły społeczne.

Dobrzyński wierzy w bestię ludzką i szczuje ją w myśl hasła: „gwałt niech się gwałtem odciska". Energię ślepą, zwierzęcą, którą dotąd budziła w masach przeciwko Polsce polityka żydowsko-komunistyczna, trzeba zmobilizować w szeregach narodowych i przeprowadzić rewolucję.

„Nam
wiecznie do gwiazd się łasić wyciem,
dniom — krukom bielmo oczy wystawiać na żer?
Nam
w milczeniu wciąż krwawić o bruki pazury,
dymić na śniegach lepkim kwiatem róż...
...Nam
codzień skomleć żałosnym akordem,
czołgać się, pełzać, łzami krztusić podle,
przyjmować cios
na odlew
w mordę?!

(„Alarm").

Najklasyczniej bodaj występuje znamienny dla Dobrzyńskiego motyw walki w wierszu „Burza":

Kły
ostre
błyskają w spazmach wywiniętych warg.
Kłom
śni się spasiony kark,
gdy w skoku — błyskawicy łapy się rozpostrą...
w ślepia czerwony bluzg... kłapnięcie... kości zgrzyt...
i mięso rozrywane wśród śmiertelnych drgań...
Kłom
śni się chwyt
pod krtań!

— — — — — — — — — — — — —

...Niech się nie cofnie nikt!
Rwać! Burzą!
Światu
do
gardła!

W wierszu „Pięści" jest ponadto rewolucyjna pogarda dla „słów" i „nucenia o szczęściu":

„Lasy pięści się prężą,
zalewają jak morze dziejowy horyzont.
Pięści w słońce się wgryzą!
Pięści jutro zwyciężą!
Pięści rwą, jak lawina w skowycie i chrzęście,
pięści niebo rozorzą jednym błyskiem kłów!
Dosyć słów!
Dzisiaj
są
pięści!!

Ale poeta chciałby panować nad żywiołową energią, którą wyzwala z siebie w porywie poetyckim. Wiersze „Ojczyzna", „Alkazar", „Mój Chrystus", „Do świętych wisielców" — wykazują, że poeta orientuje się dokąd ma prowadzić swoich zdobywców, że czci bohaterstwo męczeńskie na równi z bojowem, że poznaje i zaczyna wiązać w całość organiczną różne żywotne idee i wartości osobowe i społeczne. Jeżeli sięga często do pierwotnych instynktów, to tylko poto, aby podsycić odwagę i pchnąć bojowników do heroizmu, bo tego wymaga okres dziejów. Trzeba odróżniać dzikość lub barbarzyństwo, jako przeciwstawienie kultury, jako bezmyślne niszczycielstwo i marnotrawienie energii — od czerpania sił twórczych i bojowych ze źródeł najgłębszych instynktów, zatłamszonych w człowieku przez sybarytyzm i tchórzostwo pseudokultury.

Poezja należy do najbardziej kulturalnych wytworów człowieka, a przecież trudno odmówić wielu trafnych spostrzeżeń książce Al. Świętochowskiego „Poeta jako człowiek pierwotny". Poezja miała zawsze misję obnażania, zdzierania sztucznych zasłon, szukania praprzyczyn, praźródeł, odkrywania „prawdy życiowej", chwytania życia na gorącym uczynku. Ani półfabrykaty, ani fabrykaty w miastach, przesłaniające niebo i ziemię, nie budziły naogół wielkich natchnień. Źródło piękna bije z ziemi, z żywej przyrody, z ducha ludzkiego i jego religijnych doznań. Zaróżowiona pierś kobieca, czy krwawe oko zwierza, wpatrzone w słońce — zawsze będzie lepszą metaforą, niż najpiękniejsza suknia model *Pathou*, lato 1938, lub mauzer belgijski najnowszego systemu.

IV

Tedy instynkt dobrze prowadzi „urodzonego" poetę, jakim jest Dobrzyński, tylko spojrzenie jego na świat jest jeszcze zbyt powierzchowne. Wie, gdzie szukać treści bytu, ale zatrzymuje się na efektach żywiołu. Ciekawa rzecz, że poeta, któremu najbardziej odpowiadają tematy społeczne, poprzestaje na formie proklamacji, lub inwokacji. Dlaczego nie dostrzega zagadek bytu, paradoksów historii, tragedii indywidualnych i narodowych? To są najważniejsze wiązania w poetyckiej koncepcji świata. Nie ma arcydzieła, któreby się obeszło bez tych motywów. Na progu do wielkości stanie przed poetą metafizyka życia. Ażeby ją pokonać, jest tylko jeden sposób: poddać się jej. Spotkali się z nią autor „Wielkiej improwizacji" i „Widzenia ks. Piotra" — i autor „Tak mi Boże dopomóż" i Brzozowski, który swe genialne teorie w „Legendzie Młodej Polski" określił w słowach: psychika służebna jest psychiką panującą.

Burza, piorun, błysk, kły i pazury, pęd, dynamit, Lucyfer — to są u Dobrzyńskiego symbole, alegorie metafozy, które jednak nie sięgają zbyt głęboko. Poeta staje przed tymi zjawiskami tak, jak Kasprowicz wobec wiatru halnego: czuje w sobie wzbierający żywioł.

Ale trzeba pamiętać, że to, co wystarcza dla sonetu o wietrze halnym, nie wystarcza w poezji społecznej. Wiersze Dobrzyńskiego deklamowane na zbiórkach i wiecach Stonnictwa Narodowego, budzą entuzjazm, porywają. Poeta wychodzi zwycięsko z kontaktu z publicznością. Zawdzięcza to romantycznej sile swoich rewolucyjnych odezw. Publiczność reaguje na jego głos, postawę, „komendę zwycięstwa". Bo ta publiczność ma w sobie to, czego naogół brak wierszom Dobrzyńskiego: ideologię narodową i religijną koncepcję życia — i tę treść głęboką żywych swych dusz podkłada pod grzmiącą muzykę słów poety.

Są już utwory, które wskazują na rozwój duchowy Dobrzyńskiego. Poeta wjeżdża na głębię, ogarnia wszystkie warstwy narodu, zahacza o wielkie wydarzenia dziejowe, odgaduje idee, rządzące społeczeństwami poprzez dusze bohaterów i męczenników. Mamy na myśli słynny „Alkazar" i „Do świętych wisielców".

Nie znaczy to, żebyśmy nie uznawali piękna takich liryk jak „Ojczyzna", „Cham", „Mój Chrystus", chociaż nie jedna metafora wydaje nam się dziwaczna i brutalna. Nie znaczy to także, byśmy nie mieli podziwiać wiele z tego, co młodzieńcza, chociaż groźna, nigdy nie uśmiechnięta muza Dobrzyńskiego wypowiada samadzielnie odkrywczo, z temperamentem. Ale „Alkazar" i „Święci wisielcy" to są — drogi do wielkości.

TADEUSZ DWORAK

ĆWOK I MĘDRZEC

(WEDŁUG LAFONTAINE'A)

Pewien ćwok w mędrca kamieniami ciskał.
Mędrzec się nań obejrzał i rzekł: — Kochanieńki,
winszuję ci, winszuję, żeś tak celnej ręki.
Gruchnąć w sam nos!... Dalipan, mógłbyś stąd brać zyski.
Na mnie się nie obłowisz, bo cóż ja mam? Nic!
lecz tam, uważasz, sunie gruba ryba:
w nią praśnij, ozłoci cię chyba. —

Durnemu więcej nie trza. Za kamień! Jak wytnie!
Trafił, aliści
zza grubej ryby wysypią się pałki,
fagasy, lu, ćwoka:
— Na, masz. Na, masz,
chamie, —
po karku
i gdzie grzbiet zwać się przestaje zaszczytnie!
Ledwie się później zebrał, na pół martwy.

Bywa, że człeku w drogę wlezie
ćwok — zabijaka, jełop wredny,
który cię, mędrcze, do krwi siepie.
Jeśli go groźbą nie okiełznasz,
pogłaszcz uśmiechem, baką zjednaj
i zażyj z mańki by się indziej czepił.

JANUSZ KAWECKI

NA WIDOWNI

Historia się powtarza.—„Wiosna ludów" wczoraj i dzisiaj. — Gdzie była najprawdziwsza. — Epos i dramat węgierski. — I my także.

HISTORIA ma także swoje pory roku i jeśli się powtarza, to przedewszystkiem w rytmie swoich jesieni i wiosen. To jest naprawdę wieczne. Fala życia narodowego unosi się i opada. Są chwile złe — są chwile dobre. Teraz idzie potężny, świeży przypływ.

Idzie teraz „wiosna ludów". Nie taka nagła i gwałtowna, jak ta przed dziewięćdziesięciu laty, ale o wiele prawdziwsza. Rozpoczęła ją „*Giovinezza*", — jej strofki o wiośnie i triumfalny marsz na stary Rzym. Dalsze jej losy znaczy teraz burza hiszpańska, i jej niszczące ale oczyszczające grzmoty madryckie.

Stoimy po środku tych czasów i trudno się nieraz zdobyć na obiektywizm. I to wcale niekoniecznie w entuzjastycznej ocenie. Możliwe, że historykowi się te czasy piękniejsze jeszcze wydadzą, — a pewne już całkiem, że blaski ich nierównomiernie się ułożą. Ale nawet o sądzie historyka zadecyduje li tylko ten człowiek, co dzisiaj walczy, jego hart i postawa.

Bo wiosna może być rozmaita, — naprawdę piękna i bardzo, bardzo szara i spóźniona. Niekoniecznie ma w maju świecić słońce. I słońce ludzkiego zapału — nie każdej wiośnie towarzyszy. A i przymrozek przyjść może.

Nasza wiosna jest teraz; trudno wiosnę krytykować, bo ona i tak zawsze lepsza od zimy. Ale są inne wiosny do porównania i jest zawsze przeszłość do patrzenia. I jeśli dziś nie jednakowo układają się blaski po Europie, to tak samo było i dawniej. Rok 48-y we Francji to awantura, w Poznańskiem błysk ledwie, a na Węgrzech przewspaniała i przeognista epopeja.

Narody chowają swoje pamiątki i czczą pewne dni jako święta narodowe. I prawdziwością węgierskiej wiosny tych czasów, najprawdziwszej wiosny ludów w Europie — jest ich święto narodowe — dzień 15 marca, owe „idy marcowe", kiedy Petőfi upojonemu wolnością ludowi improwizował w natchnieniu hymn powstania—„Wstańcie Węgrzy!"

Ale też tam nie był ten rok, jak gdzieindziej — rewolucją — był powstaniem narodowem. Powstaniem zresztą idącym z prądem czasu i włączającym się w ten rytm dziejów, który był wtedy. Nie był to fajerwerk chwili; poprzedziły go lata całe walk i pracy. Naród rozkwitł najprzód tysiącem duchów ofiarnych, a szereg mężów wybitnych stanął u steru. W poczuciu sił swoich chwycił w końcu za oręż uniesiony gorączką haseł i chwili. Podniecająca marsylianka: marsz Rakoczego — zabiła w swoje tarabany. Wojnę przegrano, ale naród okazał się silniejszy. Biernym oporem wywalczono sobie znów wolność i nastąpił niebywały okres rozkwitu.

Ale powie ktoś — to są rzeczy i sprawy obce i stąd może mało ciekawe. Nieprawda. Nie tylko narodowość w tej epopei się odezwała, ale i ludzkość. Motyw prawdziwej tragedii na miarę grecką, nad temi masami się unosi. Kogoś, kto choć pobieżnie zna te czasy i chwile, uderzyć musi wprost artystycznie piękny przebieg dramatu i jego jasna, nieubłagana w swej straszliwej logice konsekwencja. Dla kogoś, kto bada owo — wiecznie narodowe — te czasy i ta historia są specjalną skarbnicą spostrzeżeń. Rzadko wprost się zdarza, by w zawiłym labiryncie spraw ludzkich i ich społecznych powikłań — było zjawisko tak równe i jasne, jak owa wojna węgierska z lat 1848—49 i poprzedzający ją „okres reform".

To „wiecznie ludzkie" wyraziło się w pojedynku Széchenyi — Kossuth, zakończonym pozornem zwycięstwem ostatniego. Ale gdy wiek ubiegły stawiał pomniki wodzowi powstania i w cień usuwał tę wielką postać, która wogóle ruch cały wywołała — dzisiaj się już naprawdę wie i rozumie, że jednak „największym Węgrem" był Stefan Széchenyi. Dziś on zwycięża, bo w nim odezwał się rozum narodu i duch jego miary, — gdy w pierwszym tylko zapał, bo miłość przecież była u obu...

Konflikt odwieczny i męcząco powracający. Wiosna zawraca w głowach i odurza i stąd głuchnie się na argumenty i żyje chwilą. Przychodzi potem przebudzenie, ale czar poezji zostaje. I nie wiadomo co wybrać — dostojne kolumny antyku, czy zwichrzony gotyk i barok...

Ale żadna tragedia nie bywa bez chóru. Za herosami stoi masa. A wielkość czasów polega przedewszystkiem na wielkości tej masy. Każdy wielki czyn musi mieć swoje echo, tem potężniejsze im ten czyn jest większy. A wielkością węgierskiej wiosny ludów — jest przede wszystkim — że chór nie zawiódł.

Czasy te znalazły piewcę. Żyje w starych, ale tak wiecznie młodych powieściach Jokay'a, człowieka co sam brał w nich udział i najpiękniejsze swe dzieła im poświęcił. Tęczy zaczerpniętej z tych czasów starczyło na lata, na całe prozaiczne stulecie, na całe może zadługie życie. I powieści-bajki są równocześnie dokumentami. Fantazja pisarza nie kłamie, — ci ludzie rzeczywiście byli tak mocni i prawi, jak jego bohaterowie. I uwierzyć w to trzeba, gdy wielu da się nazwać po imieniu i gdy całe stronice nieraz są tylko rzeczywistością przelaną na papier. Umiano wtedy kochać i nienawidzieć i znano smak ojczyzny, tak długo zapominanej.

I kiedy wspomnieć te czasy—czytać te myszką trącące a tak rozkoszne jokay'owskie stronice — jedna myśl uparcie się nasuwa. Wtedy w Europie ten okres najpiękniej, najbujniej przeżyli Węgrzy, byli w każdym calu wielcy i imponujący, a dziś — może na nas kolej, może i my taką prawdziwą wiosną się zachłyśniemy?

KAROL STEFAN FRYCZ

PROŚBA DO CZYTELNIKÓW

Wydawnictwo Pism Romana Dmowskiego poszukuje wydanej w 1892 r. bezimiennie broszury p. t. „Nasz patriotyzm".

Gdyby ktoś z Czytelników „Myśli Narodowej" posiadał tę broszurę, proszony jest o wypożyczenie na krótki czas, bądź sprzedanie Wydawnictwu Pism R. Dmowskiego.

Łaskawe wiadomości prosimy kierować do Administracji „Myśli Narodowej", Al. Jerozolimskie 17 m. 5.

Z OBCEGO ŚWIATA

KAROL VON OSSIETZKY

ZMARŁ Karol von Ossietzky, laureat nagrody Nobla z dziedziny mocno bałamutnej, bo t. zw. działalności na rzecz powszechnego pokoju. Pisywał artykuły w opanowanych kiedyś przez żydów dziennikach niemieckich: *„Berliner Tageblatt“* i *„Berliner Volkszeitung“*. Był duszą materialistycznie pojętego pacyfizmu — to pierwsze o nim paradoksalne powiedzenie. Walczył o pokój — to paradoksalne powiedzenie drugie. Walczył oczywiście piórem. Stał się symbolem gasnącego świata dziewiętnastowiecznego. Zmarł w obozie koncentracyjnym, który go izolował od innego, aniżeli jego świat, tego, który budują w Niemczech narodowi socjaliści.

Zmarł podobno, w tajemniczych okolicznościach. Tak przynajmniej pisze prasa żydowska i „demokratyczna“, czyli masońska. Być może. Być może, że poprostu nie wytrzymał fizycznie rygorów obozu izolującego. Przyjmijmy nawet, że tworzący obecnie III-cią Rzeszę *regime* obszedł się z nim po barbarzyńsku. Ale czy nie barbarzyńska była działalność Ossietzkiego rozkładająca naród?

„Dziennik Ludowy” tak oto charakteryzował jego postać: „Był politycznym indywidualistą, mentorem, krytykiem, pacyfistycznym demokratą, nie liczącym się z układem sił, piętnującym każdy kompromis. W tym charakterze działał i pisał w redagowanej przez siebie radykalnej i niezależnej *„Weltbühne”* berlińskiej, w której w imię pacyfizmu odsłaniał działania i zbrojenia Reischwehry i związków wojskowych.

Powtórzmy ostatnie zdanie: „...o d s ł a n i a ł d z i a ł a n i a i z b r o j e n i a R e i s c h w e h r y...” Czyn chyba zasługujący na skazanie „...na największą dla człowieka walki i pióra karę milczenia”.

Karol von Ossietzky zamilknąć musiał. Wkrótce potem zmarł. Śmierć jego jak, i życie były symboliczne.

„WOŁYŃSKI“ NUMER „PŁOMYKA“

BYŁY wojewoda wołyński p. Józewski miał pomocników. Należy do nich Związek Nauczycielstwa Polskiego.

Podobno Robespierre powiedział: „umiarkowanie jest bronią groźniejszą od bagnetu”. Podobno alkohol w małych porcjach ale systematycznie podawany zatruwa organizm skuteczniej niż używany w większych ilościach ale rzadziej. W postaci barwnej podoba się tym, których nie nęci przezroczysty... Trzeba go tylko podać wśród obfitej zastawy. Ani się spostrzeże członek organizacji przeciwalkoholowej jak go zakosztuje. Dziecku nie da? — Nafaszerować wódką czekoladki!

Leży przed nami „Płomyk, tygodnik dla dzieci i młodzieży” wydawany przez Z. N. P., z dnia 24 marca b. r.

Około dwudziestu ładnych obrazków, kilka żywo napisanych czytanek. Cztery pierwsze mają tytuły: „Stach na Wołyniu”, „W Liceum Krzemienieckim”, „Grób matki J. Słowackiego”, „Zamek Lubarta”.

Michaś ogląda pamiątki po dawnem Liceum w muzeum ziemi krzemienieckiej. Mocno musiały przemówić do niego te pamiątki, skoro „uczuł głęboką łączność z dawnemi dziejami”. Ale młody czytelnik „Płomyka”, czytając numer tego pisma poświęcony Wołyniowi — napewno nie odczuje łączności z tą polską ziemią kresową.

Dowie się wprawdzie, że tu się urodził Tadeusz Czacki twórca Liceum, zapamięta na długo piękny opis grobu Salomei Słowackiej. Usłyszy, wraz ze Stachem jadącym koleją na Wołyń, od „pana, który wszedł do przedziału”, że mieszkają tu zdawien dawna Polacy i że nawet jest ich „bardzo dużo”. Ale grób Słowackiej i liceum Czackiego utkwią mu w wyobraźni jako coś przypadkowego na zupełnie obcem tle. Zdanie o dużej liczbie Polaków wobec pochłaniającego uwagę owego tła brzmi tak gołosłownie, że napewno wyleci Stachowi z głowy.

Słyszy ciągle cerkiewne dzwony, jadąc pociągiem i po przyjeździe dostrzega tylko cerkwie, choć wieże kościołów wyżej strzelają w niebo.

Dziwi się Stach, że tutejsi ludzie jakimś innym, choć podobnym do polskiego mówią językiem.

„To po rusku, bo na Wołyniu jest dużo Rusinów, których obecnie nazywa się także Ukraińcami” — informuje towarzysz podróży. Zapomina wyjaśnić, że odmienna mowa nie świadczy o przynależności do innego narodu. A nie trzeba daleko szukać przykładu! Pod Kowlem są wsie, których mieszkańcy mówią po rusku, ale każdy czuje się Polakiem...

Cóż kiedy Stach właśnie w Kowiu na ruchliwej węzłowej stacji — spał zmęczony podróżą. I nie widział Kościoła-Pomnika górującego nad rozległą okolicą. A ten Kościół-Pomnik widny zdala przy wjeździe na Wołyń przemówiłby doń jak rozkaz: — Wołyń jest i ma pozostać polski, bo polski był.

Tymczasem Stach (a z nim jego rówieśnik czytający reportaż p. Serednickiego) coraz wyraźniej odczuwa, nawet jeżeli nazwać tego nie umie, że lud wołyński jest częścią odrębnego narodu.

Stach — ogląda w chacie portret „Tarasa Szewczenki, narodowego poety ukraińskiego“.

Stach — musi się uczyć ruskiego języka.

P. Szandruk w czytance „Zamek Lubarta” przedstawił łucki zamek jako siedzibę książąt ruskich a potem litewskich. Zapoznaje czytelnika obszernie z ruską i litewską tradycją państwową Wołynia — polską zamyka w krótkich słowach „Litwa i Ruś zostały ściślej spojone z Polską”. Sprytem Polaków, którzy „nie dopuścili do koronacji Witolda”, tłumaczy to spojenie.

Nie znajdzie tu czytelnik nic o tem, co najsilniej spoiło W o ł y ń z Polską — nic o krwi polskiej przelanej w ciągu wieków na Kresach.

Nic o tem, co najsilniej spoiło l u d ruski z polskim — nic o wpływie religii i kultury zachodniej.

A skądże się wziął ten instynkt, który dziś mimo wszystkie przeszkody budzi się i lud wołyński zwraca Kościołowi i Narodowi? — O ruchu nawróceniowym „Płomyk” milczy.

„Wołyński” numer „Płomyka” nie uwidocznił wcale wpływu polskiej kultury. Poświęcił sporo miejsca Liceum krzemienieckiemu, ale wygląda ono jak zamek obwarowany, dla otoczenia zimny, obcy, nieprzystępny.

Pomija milczeniem czynniki strzegące dziś polskości Wołynia. Nie dziwimy się, że milczy o Stronnictwie Narodowem. Lecz „Płomyk” również ani słowem nie wspomniał o działalności duchowieństwa katolickiego i Korpusu Ochrony Pogranicza.

Opisami obyczajów ludowych zachęci może do turystyki po Wołyniu — ale napewno nie do osiedlania się: z opisów wieje obcość.

Przedstawia Wołyń jako kraj w ciągu historii odrębny, mniej lub więcej z Polską związany, lecz nie jako część krew z krwi i kość z kości narodu polskiego.

Idei tej odrębności służy, ideę tę wśród najmłodszych propaguje. Szkodliwa to propaganda, tem szkodliwsza, że zręcznie maskowana.

TADEUSZ MIEDZWIECKI

NAUKA I LITERATURA

MONIUSZKO *REDIVIVUS*

POWIEŚĆ biograficzna kryje w sobie niebezpieczeństwo martwoty. Jakże często bywa ona syntezą aktów archiwalnych, wnosząc ze sobą szelest pożółkłych kart i woń muzealnej gabloty. Napisać powieść tego typu i za jej pośrednictwem pobudzać do życia postać historyczną nie jest bynajmiej rzeczą łatwą. Ileż to godzin strawić trzeba przeglądając i studiując rozliczne akta i zapiski, a zwłaszcza korespondencję artysty, w której, rzecz naturalna, odbijają się najszczerzej i najbezpośredniej cechy jego charakteru. Tym większą zasługą literacką oraz miarą talentu pisarskiego Władysława Fabry'ego jest wydana niedawno powieść biograficzna o Moniuszce.[1]) Trzysta stronic tej księgi, to materiał bogaty dla krytyka. Już we wstępie dowiadujemy się o wielkim pietyzmie, jaki autor żywi dla Moniuszki. Jego słuszne uwagi o niedocenianiu postaci autora „Strasznego Dworu” przez rodaków, o braku bodaj jednego godnego zasług Moniuszki pomnika w stolicy. Ileż to razy byliśmy świadkami zapoznania talentu przez własne społeczeństwo. Stoi nam jeszcze żywo przed oczyma wspaniały i jakże kosztowny pogrzeb Karola Szymanowskiego. Pieniędzy, wydanych na uczczenie Zmarłego nie znaleziono mimo wszystko w chwili, kiedy umierał na obczyźnie; przydałyby się napewno do zachowania przy życiu znakomitego twórcy polskiego! Z Moniuszką nie bywało lepiej. Kto wie, gdyby nie patronka jego, rosjanka, pani Muchanow - Kalergis, czy byłby w możności wyjazdu za granicę na dalsze studia. 5.000 rubli, jakie dał koncert jubileuszowy, urządzony przez p. Kalergis, to były dla Moniuszki pieniądze wręcz opatrznościowe. Dzięki nim poznał czołowe ośrodki europejskiej kultury muzycznej, zetknął się z muzyką Ryszarda Wagnera, z Lisztem i Meyerbeerem.

Bardzo interesujące są w książce Fabry'ego rozmowy moniuszkowskie z Ernstem, wizyta w Weimarze. Wyborny i dokładny zarazem konterfekt daje nam autor, odsłaniając życie zakulisowe opery warszawskiej za czasów dyrekcji Moniuszki. Przesuwają się dzięki temu przed naszemi oczyma sylwetki najcelniejszych artystów jego epoki ze słynną Rivoli, Dowiakowską, Dobrskim i Filleborn em na czele. Ładny i pełen uroku epizodzik z Brzozowską ukazuje nam Moniuszkę „od wewnątrz”. Niezwykle skromny, etyczny i bezkompromisowy ukazuje się nam Moniuszko niczem z portretu, a pełna dobroci jego twarz nabiera wyrazu ojcowskiego.

Ranne msze u Wizytek, gawędy w kawiarni, stosunek do żony i do licznych dzieci, nawet notatki, zawierające codzienne wydatki kompozytora, wszystko to w książce Fabry'ego służy całości. Język powieści łatwy, styl piękny i zrozumiały, bardzo starannie dobrany poczet zdjęć fotograficznych Moniuszki i jego rówieśników, wszystko to sprawia, że olbrzymie dzieło czyta się jednym tchem. Książka o Moniuszce powinna stać się bodźcem do dalszego zgłębienia nietylko istoty twórczości muzycznej autora „Halki”, ale i jego wartości duchowej. Krzywa, idąca od młodzieńczej „Loterii”, po przez „Halkę” i „Straszny Dwór” ku chybionej „Parii” i dalej, aż po czerwiec 1872 roku — oto życie jednego z największych kompozytorów naszych, a zarazem jednej z wielu ofiar niskiego stanu kulturalnego i obojętności społeczeństwa.

W siedemdziesiąt kilka lat po zgonie Moniuszki należałoby odkupić grzechy ówczesnego indyferentyzmu. Powieść biograficzna Władysława Fabry'ego staje się podwaliną pod dalsze badania moniuszkowskie i inne żywe dowody hołdu, należnego temu polskiemu twórcy narodowemu w Polsce.

ASPER

[1] Wł. Fabry: Moniuszko, Warszawa 1938.

RUCH WYDAWNICZY

Nowy nr. „Strażnicy Harcerskiej” przynosi na wstępie artykuł „Przed wielką próbą“, omawiający konieczność wytworzenia w duszach młodego pokolenia wewnętrznej gotowości w razie wojennej potrzeby — dziejowej próby nowoczesnego katolika i Polaka. W szkicu „Kula czy Krzyż“ słyszymy ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem wojującego komunizmu obnażającego swe wilcze kły w mordzie lubońskim. W dziale „Wskazówki dla drużynowych”, w pracy „Sprawności przyjaciela całego świata” zostały wyrażone wątpliwości, jakie się rodzą wobec usiłowań zmasonizowania polskiego Ruchu harcerskiego. Niezmiernie interesująca praca „Prawo harcerskie i prawo Talmudu”, opierająca się na źródłowej książce ks. Pranajtisa „Chrześcijanin w Talmudzie żydowskim”, wyraża uzasadniony sprzeciw wobec uparcie ponawianych prób wprowadzenia żydów do Związku.

W dziale recenzji z wydawnictw harcerskich znajdujemy omówienie książki sanacyjnej spółki autorskiej oraz broszury młodego harcerza - narodowca. Korespondencje z prowincji notują pocieszający objaw wzmożenia życia religijnego w kołach starszo - harcerskich w Wilnie i we Lwowie. Równie ważne są dane, tyczące „spraw duszpasterstwa” na terenie chorągwi Warszawskiej. Dowiadujemy się także o represjach, stosowanych przez sanację na terenie t. zw. Zethapu w Poznaniu i Warszawie. „Strażnicę Harcerską” można nabyć i zaprenumerować: w W-wie, w f-mie „Pro-Pressa”, Widok nr. 5, tel. 306-55, oraz nabyć w „Składnicy przyborów sportowych”, ul. Żórawia 3, Pelplin „Wydawnictwo Pielgrzyma”; Lwów — „Książnica Polska”, ul. Chorążczyzny 7, — f-ma Lange, ul. Akademicka 15. Cena prenum.: 2.50 zł. rocznie. Red. i adm.: W-wa, Kredytowa 16 m. 25. Tel. 6-10-92. Konto P. K. O. 24-405.

*

Mieczysław Smolarski. „Iskry na szablach”. Tow. Wyd. „Rój”, W-wa —1938.

Powieścią o rodach mieszczańskich nazwiemy nową rzecz znanego pisarza, niesłusznie zresztą przemilczanego przez krytykę.

Czasy wojen moskiewskich, walk o Smoleńsk za Władysława IV znamy głównie w relacji pisarzy — wyłącznych chwalców szlacheckiej przeszłości. Jednym z nielicznych co dostrzegli obok „miecza” i „łokieć”, był Gomulicki, — dziś częściowo w jego ślady idzie Smolarski, gdy przedstawia środowisko elity ówczesnego mieszczaństwa w Warszawie i Łowiczu. Więcej, bo jednym z głównych bohaterów kreuje młodego Strubicza, z zacnego warszawskiego gniazda kształconego w Holandii, inżyniera sztuki fortecznej i obleż

niczej w wojsku polskiem. Jego nobilitacja za zasługi poniesione podczas oblegania Smoleńska i małżeństwo ze szlachcianką są jakby symbolem zbratania dwóch stanów, zagubienia różnic stanowych na poziomie wyższej, polskiej prawdy.

Wątku dostarczyły autorowi: motyw złego stryja, krzywdzącego powierzonych swej opiece bratanków, — oraz zemsty syna za śmierć ojca i — starych grzechów, ekspiowanych w boju za ojczyznę.

Bogata galeria postaci ówczesnej epoki: rycerzy i lisowczyków - łupieżców, mieszczan służących w regimentach zaciężnych, kupczących towarem lub trudniących się medycyną, charakterystyczna, obca sylweta żyda — balwierza — pokazana została w ruchliwem tle scen i epizodów codziennego życia.

Akcja toczy się stanowczo zbyt powoli i to osłabia zainteresowanie. Całość robi dodatnie wrażenie, zajmującej, porządnie napisanej książki historycznej.

(St. J.)

*

Organizatorzy Ogólnopolskiej Akademickiej Pielgrzymki Jasnogórskiej, chcąc ułatwić osiągnięcie zamierzonych celów, wydali pracę zbiorową pod tytułem wymownie przemawiającym do każdego: „Spełnijmy Sluby Jasnogórskie” Warszawa 1937, skład główny A. Prabucki, Warszawa, Miodowa 1.

W niedługich, treściwie ujętych dziewięciu rozdziałach, omówiono zagadnienia związane z wypełnieniem najistotniejszej części Akademickiego Slubowania, które brzmi: „Przyrzekamy i ślubujemy, że wiary naszej bronić i według niej rządzić się będziemy w życiu naszym osobistem, rodzinnem, społecznem, narodowem, państwowem”.

W pracy swej młodzież napotyka wiele trudności. „Z jednej strony przezwyciężyć musimy— piszą autorzy — bierność znacznej części społeczeństwa, z drugiej zaś, zorganizowaną akcję naszych przeciwników”. Tymi głównymi wrogami są: żydzi, masoneria, komunizm. Na podstawie zebranych dokumentów wskazano, że cel religijny żydostwa — to cel polityczny: panowanie nad światem.

Słusznie ostrzegają autorzy wszystkie organizacje a zwłaszcza organizacje katolickie przed napływem do nich komunistów, gdyż w myśl instrukcji KIM'u, komuniści zobowiązani są wchodzić do wszystkich organizacji.

Przeciwstawiając się powszechnie stosowanemu zwalczania wad, propagują system wychowawczy polegający na rozwijaniu najistotniejszych zalet Narodu Polskiego, jak ofiarność w służbie idei, rycerskość, poczucie godności osobistej, wiara we własne siły, twórczość, solidarność i inne.

Z SALI ODCZYTOWEJ

„AUTOR, PUBLICZNOŚĆ I POSTACI SCENICZNE“

JULES Romains, znany dramaturg, powieściopisarz i poeta wygłosił dwa odczyty, w których podzielił się z publicznością swemi doświadczeniami i przeżyciami literackiemi. Przybył on na zaproszenie Penclubu i Instytutu Francuskiego.

Podczas pierwszego wieczoru *(Auteur et public)*, — był to rodzaj wesołej, pełnej dowcipu i finezji, pogawędki, — prelegent przeprowadził podział publiczności na: teatralną, czytelniczą i odczytową. Tę drugą najtrudniej autorowi przychwycić, dwie pozostałe są znacznie uchwytniejsze i bardziej zrozumiałe, a przez to i lubiane przez twórców. Najwięcej jednak lubią oni publiczność odczytową, z reguły zadowoloną i bijącą brawo.

W drugim odczycie *(Auteur et ses personnages)* Romains, — matematyk z wykształcenia, botanik i filozof ścisły, nim się wziął do literatury (w latach 1904—6 ukazał się pierwszy zbiór jego poezyj *„La vie unanime”*, stąd cały kierunek literacki t. zw. *unanimisme;* głośna komedia *„Dr. Knock”* oraz 14-ty już tom powieści — cyklu *„Les hommes de bonne volonté”*), — poruszył zagadnienie symetryczne do poprzedniego.

Autor i jego kreacje — są dwie odpowiedzi na zapytanie, skąd on je bierze? — z poza siebie albo z głębi własnej jaźni. Pierwsza hipoteza jest bardziej powszechna, a mówi o wpływie otoczenia, rodziny, znajomych, doszukuje się rysów portretowych, autentycznych. Czytelnik jakże chętnie stara się odgadnąć figury, których nazwisk się domyśla, szuka nawet materiału antobiograficznego, w sensie fabularno - anegdotycznym lub tego, co Francuzi nazywają *roman aclef* (powieść z niewiadomemi do podstawienia, np. *„Princesse de Clèves”*, w. XVII). Dla czytelnika najciekawsze jest zawsze odbicie np. własnych przeżyć miłosnych autora w jego utworze, z ciężarem gatunkowym autopsji. Dlatego nieraz pisarze są wypytywani niezbyt dyskretnie przez wielbicieli a zwłaszcza wielbicielki o tło rzeczywiste powieściowej fikcji.

Druga teoria głosi, że twórca wyprowadza swe postaci z przędzy własnej duszy. Gdyż jest poniekąd pewnikiem, że człowiek nie jest w stanie stworzyć coś z poza obrębu własnej substancji duchowej. W tym sensie jest niewolnikiem swojej natury, wyobraźni, ogólnie biorąc, całej rzeczywistości wewnętrznej. Bywa, że autor zapiera się ojcostwa ale mimo wszystko jego kreacje są tylko schwyceniem kolejnych jego wcieleń, emanacją, wyłonieniem najgłębszem. Tam odnajdujemy jego sny o świecie i zjawy, chimery, materializujące się wokół przedmiotów jego marzenia.

Oczywiście żadna z wymienionych koncepcji nie jest wyłącznie słuszna, racja mieści się potrosze w obydwu. W każdym chyba utworze literackim obok naśladowania natury jest sporo pierwiastka autobiograficznego, owego freudowskiego rzutowania głębin podświadomości na płaszczyznę realnej rzeczywistości.

Niezmiernie cenna w aparacie psychicznym pisarza jest intuicja, węch psychologiczny, każący podejrzewać niesłychane wprost nieraz reakcje i uczucia. Z czasem rodzi się na tem podłożu rodzaj transu — pewności, przeświadczenia o słuszności śmiałych domysłów autora. Co innego, że towarzyszyć może temu styl najbardziej klasyczny i zrozumiale jasny i prosty.

Umysł twórczy zawiera w swem łonie pewną liczbę jakby zarodkowych, embrionalnych osobowości, można powiedzieć predyspozycyj jednokierunkowych. Dla niektórych indywiduów liczba ich mnoży się znacznie, aby w dziele skończonem wytworzyć pewien klimat, w którym dojrzewają owe jakby przekroje psyche autora. Proces powstawania powieści czy innego utworu polega właśnie na rozwijaniu się ich, kolejnem i automatycznem powstawaniu tychże, w atmosferze wytworzonej na skutek zgęszczenia rzuconych wprzódy swobodną ręką sytuacyj — naciągniętych później do sztucznej konstrukcji architektonicznej danego dzieła.

Zresztą w pewnym momencie autor spostrzega, że kierowane jego wprawną dłonią marionetki poczynają żyć własnem życiem, poruszać się bez impulsu z zewnątrz. Wewnętrzna konieczność, własna logika gwarantują odtąd jedyną słuszność i rację, pełną celowość ich istnienia. Oczywiście, stale temu towarzyszy praca kompozycyjna, trud architekta, nie samo tylko asystowanie przy cudzie narodzin. Zresztą w dramacie trudniej jest wyliczyć i przewidzieć, w większym stopniu zdać się trzeba na niezawodność spontaniczności.

Miarą doskonałości figur jest ich sugestywność, złudzenie życia, jakie nam dać są w stanie.

Ciekawe wreszcie były wspomnienia przeżyć autora z tej dziedziny oraz przykładowa niejako lektura jego utworu.

St. J.

Z TEATRU

WZNOWIENIA I PREMIERY

„CEZAR I CZŁOWIEK".

KTO jak kto, ale Adolf Nowaczyński nie może narzekać, że jego sztuki są rzadko grane. Sam Teatr Polski (coprawda w ciągu 25 lat) wystawił sześć jego komedii. I tak: w 1913 r. grano „Nowe Ateny". W 1915-m szedł „Rey w Babinie". W 1920-m „Pułaski w Ameryce". W 1927-m „Wojna wojnie". W 1932-m „Komedia amerykańska". Wreszcie w początku czerwca roku zeszłego wystawiono „Cezara i człowieka".

Zeszłoroczny „Cezar i człowiek" był grany 33 razy. W obecnem „wznowieniu" dokonano sporo zmian. Zainscenizowano „epilog" który można uważać za IV akt. Rolę Don Cezara, którą wtenczas grał K. Junosza Stępowski, dziś objął Edmund Wierciński. Zgodne głosy sprawozdawców stwierdzają wyższość kreacji Stępowskiego. Wierciński miał mniej majestatu i gorzej cieniował słowa. Ale nie posiadając tak zniewalającego uroku ekspresji, w ogólnej koncepcji był b. trafny, odpowiadał sztuce i historii. Mikołaja Kopernika grał K. Wilamowski. Obecnie dano tę rolę J. Kreczmarowi. Rolę *Diego Colombo*, sekretarza księżnej objął St. Michalski (w r. z. E. Solarski), *Amerigo Padowano* — Al. Buczyński (R. Wyspiański), *Napoleone Vespuci* — St. Malatyński (Wł. Łukaszewicz). Reszta obsady bez zmian. *Donna Lucia Borgia* była b. dobrą kreacją Andryczówny. *Monnę Sancia* odtwarzała Z. Grabowska. Na wyróżnienie zasługiwał B. Samborski, jako *Commandante Michelotto*.

Sztukę reżyserował Aleksander Węgierko.

„SERCE" w TEATRZE NOWYM

Henryka Bernsteina znamy głównie z Teatru Polskiego w Warszawie, gdzie wystawiono dotąd pięć jego komedii: „Napaść", Tajemnicę", „Bakarata", „Melodramat" i, w r. 1935 „Nadzieję".

Komedia „Serce" rozgrywa się w Biarritz, w willi nadmorskiej, w sferze zamożnej inteligencji francuskiej. Autor skombinował warunki, które pozwoliły wyeliminować wszelkie pozamiłosne motywy, sprawy, skojarzenia. Zapanował „czysty" Eros, treść komedii wypełniły nastroje, uczucia, zatargi i sojusze, które tworzą bujny ,wszechludzki proces miłości.

Tło dla miłosnych tarapatów głównej pary stanowi życie miłosne osób drugoplanowych. Wszystkimi, prócz może Patryka, rządzi miłość wielka, szlachetna, decydująca o życiu. Nikt nie wyłamuje się z tej atmosfery. Nawet Maksym służący daje poznać, że żyje w nim głębokie, nigdy nie wygasłe uczucie do żony.

Gdy się już tak dobierze i zetknie osoby, to komedia buduje się poprostu sama i motywem akcji jest oczywiście kolizja serc. Zainteresowanie budzi odwieczny trójkąt małżeński: kobieta, jej mąż i przyjaciel domu, który może przeobrazić się w jej kochanka lub męża, może być zabity przez broniącego swych praw i uczuć rywala, wreszcie może odejść skompromitowany. Wszystko zależy od tego, jakim się okaże małżonek pięknej damy, tęskniący do romantycznego uczucia.

Nieco słabą stroną „Serca" jest psychologia, t. j. charakterystyka osób, a co za tym idzie — motywacja psychologiczna przebiegu wydarzeń. Pewne cechy kobiecości Róży są posunięte do przesady. Dziwi nas jej lekkomyślność w decydowaniu się na odejście od męża — z Patrykiem. Jeszcze bardziej nieoczekiwany jest jej sukces do męża — pod wpływem perswazji otoczenia. Epizod z przyjacielem został okupiony kilku minutami płaczu, a potem wybuchła w niej miłość do małżonka. Jan zasługuje na to w zupełności, przerasta rywala męskością, szlachetnością, charakterem, siłą uczucia. Łatwo było Róży zniechęcić się do fircykowatego Patryka. Ale dlaczego kobieta tak inteligentna i tak niezwykle wrażliwa, nic z tego nie wyczuwała wcześniej? Wreszcie wszystko to są motywy racjonalne, którym przyklaskuje widownia w teatrze; ale gdzie jest ślepa, fatalna siła autentycznej miłości? Dlaczego nie działała w Róży ani w tym, ani w tamtym kierunku. Rozładowała się widocznie w potokach łez i ustąpiła instynktownemu przywiązaniu kobiety do mocniejszego człowieku.

Uwagi powyższe można uważać nie tyle za zastrzeżenia, ile raczej za refleksje na marginesie komedii. Całość jest zmontowana dosyć zgrabnie, jest tylko trochę za krótka. W akcie III autor ma już niewiele nowego do powiedzenia i wypełnia czas udramatyzowaną pochwałą, wierności miłosnej i piękną propagandą rozrodczości.

Wincentym Magneyran był Wojciech Brydziński. Różę grała Jadwiga Smosarska, mile i przekonywująco odtwarzająca szczere wzruszenie. Jana-Klaudiusza grał Tad. Wesołowski; rola ta nastręcza pole do popisu dla dużej skali uczuć, barwy i siły głosu. Wesołowski b. dobrze wywiązał się z tego zadania. Patrykiem był J. Śliwiński, Cecylią B. Kościeszanka, Olgą — I. Wasiutyńska.

Widowisko zostało wyreżyserowane przez St. Wysocką. Wspaniałe dekoracje są dziełem St. Jarockiego.

Przekładu dokonał Ryszard Żarkowski.

T. D.

FILM

PAN: „Za zasłoną", reż. Chrzanowski.

Mogło taki utwór subsydiować Towarzystwo Eugeniczne, lub Ministerstwo Opieki Społecznej i wówczas należałoby zrobić z tego dodatek nadprogramowy, film naukowy, oczywiście w popularnem tego słowa znaczeniu. To znaczy doborem odpowiednich zdjęć, pomysłowo uplastycznioną statystyką, sięgnąć do świata nowej treści wizualnej, zarazem uświadamiając szerokie masy o niebezpieczeństwie chorób wenerycznych (bo takie były zamiary autorów filmu). Zamiast tego poczęstowano nas ckliwą opowiastką, skleconą w najzupełniej prymitywny sposób; reżyser nie umiał sobie wcale poradzić z aktorami i sprowadził ich na zupełne bezdroża. Dopiero pod koniec, gdy film znienacka przeistacza się w grzmiący wykład, widzimy na ekranie co interesującego — są to bakterie, oglądane pod mikroskopem. Zarazki — o ironią — nadają utworowi pewien rumieniec życia.

Krytykujemy z przykrością, gdyż, sądząc z afisza, pracowało przy tym filmie krajowym wyjątkowo sporo Polaków; chęci mieli dobre, tylko niestety nie starczyło umiejętności, należało więc, przynajmniej jakiś czas, pozostać „za zasłoną."

EUROPA: „Po wielkiej wojnie", film amerykański.

Jak na Amerykę wcale nie głupi film. Mimo niejasnego rysunku psychologicznego bohaterki utworu (sanitariuszki, w której kocha się dwóch b. żołnierzy, reżyser potrafił, przeciwstawiając sobie dwa typy ludzkie, skonstruować wiele scen interesujących i bardzo mocnych w wyrazie. Świat, widziany bez roztkliwiań, z rzetelną rzeczowością, niepozbawioną amerykańskiej jowialności, podszytą nieraz głębokim sentymentem, znajduje znakomitego przedstawiciela takiej filozofii w osobie Spencer'a Tracy. Świetny to aktor.

Film zmontowany sprawnie; tempo dobre.

STYLOWY: „Zbłądziłem", film francuski, według sztuki H. Bersteina.

Jaka szkoda, że nie oglądamy tego utworu w czasach filmu niemego. Wówczas ten utwór europejski, tak inteligentny i interesujący, ze świetnymi i świetnie dobranymi aktorami, wyrażony klasycznym filmowym językiem, b e z s ł ó w, byłby zapewne czemś znakomitem. Dziś, mimo wielu bezspornych zalet, jakie musimy mu przyznać, mimo pewnej ilości fragmentów, ciekawych wizualnie i wygranych plastyką osób, rzeczy i krajobrazu, nie możemy zapomnieć zarazem, jak wiele znaczą tu słowa i jak bardzo tem samem zbliżają ten film do teatru. Wartość obrazu, w filmie mówionym towarzysząca słowu, musi być conajmniej równa.

KANDYD

ADMINISTRACJA I BIUROKRACJA

Wypadki, toczące się tak szybko w dziedzinie polityki zagranicznej, mimowoli odrywają uwagę społeczeństwa od spraw bezpośrednio związanych z niedomaganiami naszego ustroju. Ale znów co dnia każda gazeta przypomina nam o tej naszej wewnętrznej bolączce. To przypomnienie odbywa się w swoisty sposób: za pośrednictwem sprawozdań z sądów, gdzie oskarżonymi są dygnitarze naszej administracji, nie, przepraszam, biurokracji. W starostwach, w województwach, w urzędach skarbowych, w ministeriach — Mnożą się, jak na drożdżach.

Jest to objaw tak niepokojący, że każdy z nas, „rządzonych" zapytuje z niepokojem: co będzie? jakże wygląda aparat administracyjny państwa? Jakie drożdże były tu użyte?

Sprawy rządu i rządzenia, są to bardzo stare sprawy. Arystoteles w swojej „Polityce" (VI, 12), jakże dziś aktualnej! — powiada, że trzy są elementy, które należy rozróżniać w tworzeniu rządu, a mianowicie: 1) k t o naznacza, 2) z p o ś r ó d kogo się formuje i 3) j a k się ten rząd zatwierdza.

Zapomniano w czasach obecnych o tym Arystotelesie, bo dziś wogóle o wielu rzeczach się zapomina, ale widać, że mądry był ten starożytny Grek, skoro ta sprawa jest teraz równie żywotna.

Właśnie: kto, z pośród kogo i jak? Otóż to!

W starożytnej Grecji, tak samo jak i obecnie, sprawy państwa były, jakże często, pokrywką dla złodziejów, odzierających lud ze skóry w imię własnej korzyści.

Smagał to Arystofanes biczem swej satyry:
„.......mieszaj i kiełbaś wszystkie sprawy państwa,
a ludek zawżdy umiej sobie zjednać,
karmiąc go słodko łakotnemi słowy.
Zresztą masz wszystko, co trza ludowójcy:
głos przeraźliwy, ród podły, stan gminny, —
krótko: masz wszystko, by być politykiem...."

Rozejrzyjmy się tylko, a niejednego zobaczymy „ludowójcę", którego na szczyt wyniósł głos przeraźliwy i umiejętność karmienia ludu łakotnemi słowy.

Widać dużo jest słuszności w teorii Vico, włoskiego filozofa i historyka, który głosił, że historia biegnie linią cyklów — *corsi a ricorsi.* Jest to niejako falowanie: tam i z powrotem. Zdawałoby się że odbiegliśmy znacznie naprzód, dzięki niesłychanemu rozwojowi techniki. Gdzietam! Jakże wiele dzisiejszych technicznych wynalazków było w zasadzie znanych światu starożytnemu.

Herofilos, grecki lekarz z epoki aleksandryjskiej, idąc do chorych zabierał ze sobą zegarek, którym mierzył temperaturę przez obliczanie pulsu. W czasach Herona, przed dwoma przeszło tysiącami lat, znano już hodometr czyli drogomierz, czyli dzisiejszy taksometr; znano wtedy i ogrzewanie centralne, telegraf optyczny, wodny i wiele innych rzeczy, dzięki którym komfort życia ówczesnej biurokracji był wysoki.

Ale znano też i biurokrację, głupią biurokrację, co kraj doprowadziła do upadku.

„ — O szczęśliwcze,
jakżeś się nam udał na polityka!
— Alić, o miły, człek jestem nieuczon,
czytać ci jeno umiem, i to kiepsko.
— Nawet „t o k i e p s k o" zaszkodzić ci może.
albowiem ludu nie śmie wodzić teraz
człek myśli mądrej, ni cnych obyczajów,
jeno plugawiec i nieuk".

To był głos Arystafonesa, który widział co się dzieje w jego ojczyźnie.

Czy dziś jest inaczej? Przecie zgoła tak samo. Natura ludzka, widać, bardzo mało się zmienia w ciągu tysiącoleci.

Z niezmiernie ciekawego studium Stanisława Łosia o „Helladzie na przełomie" dowiadujemy się interesujących rzeczy o biurokracji starożytnej, kubek w kubek podobnej do naszej. Gdy służbę obywatelską przekształcono na służbę na urzędzie, Hellada stanęła nad brzegiem przepaści. I stoczyła się w nią. Zaczęto bowiem, zamiast pracować — urzędować, a kto się zaz nauczył urzędować zwłaszcza kto w swojem życiu nigdy nic poza urzędowaniem nie robił, ten bardzo prędko staje się niezdolnym do wszelkiej innej pracy, szczególnie zaś niesympatyczna będzie dlań wszelka praca połączona z jakimkolwiek namacalnym wynikiem".

Zaczęto w Helladzie, tak jak i u nas, wydawać nakazy, które się posypały na głowy mieszkańców. Nastąpił zanik zmysłu gospodarczego, jest to bowiem cechą reżymu biurokratycznego, a w ślad za tem — ruina produkcji, przedewszystkiem rolniczej. No i oczywiście „ziemia attycka przechodziła coraz bardziej w ręce wielkich właścicieli — ludzi nowych, bo stare rody wyginęły....".

A właśnie w dziennikach widzimy teraz całe szpalty ogłoszeń o majątkach ziemskich, wystawianych na licytację przez Tow. Kr. Ziemskie.

Oto jest się nad czym zastanowić. I w Polsce ziemia przechodzi w ręce nowych właścicieli. Myślicie, że w ręce chłopów? O nie, w ręce nowych panów, nowobogackich, w ręce tych z elity, wyprodukowanej przez biurokrację, rujnującą społeczeństwo. A ponadto, od chwili odzyskania niepodległości do końca roku 1936 Polacy stracili na rzecz Żydów 1.205.000 ha ziemi, nie mówiąc o 1.160.000 ha ziemi, wykupionej przez Rusinów, Niemców i Litwinów.

Rządy biurokracji są bardzo kosztowne. Hellada zapłaciła najpierw powszechnem sproletaryzowaniem kraju, a potem swoją — niepodległością.

QUIS

NA MARGINESIE

Dawno, już dawno powiedział mądry polityk francuski:
— To, co się pisze, może państwem wstrząsnąć; ale to, o czem się nie pisze, może państwo zgubić.

*

W Warszawie powtarzają sobie „szmonces" żydowski:
— Powiedz pan, co trudniej zrobić: wybić szybę, czy szybę wprawić?

— Chyba wprawić...

— A nie prawda, bo żeby wybić szybę trzeba mieć wyższe wykształcenie — psiakrew!

*

Rozmowy.

— Przyznaję panu, że hasło „sanacji moralnej" zawiodło. Po tylu procesach sądowych wszyscy to widzą. Ale bo też tamto hasło było niezrozumiałe. Nie wiedziano, co znaczy „sanacja", ani co to jest „moralność". Teraz to się zmieni, bo my rzucamy hasło prostsze, raczej techniczne niż ideowe. Głosimy hasło „naprawy". „Naprawiacze" lepiej brzmi niż „sanatorzy". Naprawa, naprawiać, ciągle naprawiać. I to tak brzmi, jakby się szło n a p r a w o. Zabaczy pan, jak to ładnie pójdzie.

PO ZNIŻONEJ CENIE

dla czytelników „Myśli Narodowej"

nabywać można w Administracji lub w redakcji „Myśli Narodowej" następujące książki

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

1. Norwid . . . . zł. 3 —
2. Aspazja i Alcybiades . . . . . „ 2.50
3. Pieśń w górach . . . . „ 2.50
4. Wnukom o prapradziadku . . . . „ 1.50
5. O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej 2 —
6. Z życia poety romantycznego (S. Goszczyński) 1.50

(Na koszta przesyłki trzeba doliczać 10%)

Tom II

Pism Romana Dmowskiego

Niemcy, Rosja i kwestia polska

Według całkiem wyczerpanego wydania z 1908 r.

I. Obecny stan i ogólny charakter kwestii polskiej. II. Położenie międzynarodowe od czasu utworzenia cesarstwa niemieckiego. III. Osłabienie Rosji, kwestia polska i polityka Niemiec we wschodniej Europie. IV. Przyszłość Rosji. V. Polityka polska od upadku ostatniego powstania. VI. Przełom dziejowy w kwestii polskiej.

P. S. Wkrótce ukaże się tom IV Pism R. Dmowskiego „Upadek myśli konserwatywnej w Polsce" z dodatkami.

Siła i Prawo

prof. R. RYBARSKIEGO

Cena książki 6 zł., dla prenumeratorów „Myśli Narodowej" 5 zł., z przesyłką 50 gr. drożej.

Wysyłkę uskutecznia po otrzymaniu należności administracja „Myśli Narodowej" w Warszawie, al. Jerozolimskie 17.

Pieniądze przesyłać można pocztą za pośrednictwem przekazów rozrachunkowych.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA, Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.